ZABAWKI
WIERSZEM i PROZĄ.
TOM I.

EDYCYA PIĄTA.



Za Przywileiem.

w WARSZAWIE 1790.
Nakładem i Drukiem MICHAŁA GRÖLLA,
Księgarza Nadwornego J. K. Mci.

DO

JASNIE OSWIECONEGO XCIA JMCI

ADAMA

CZARTORYSKIEGO

GENERAŁA ZIEM PODOLSKICH

Orderow

Orła Białego, S. Stanisława,

i S. Jędrzeia, Kawalera,

&c. &c.

Cnota iedna ieſt, Jaśnie Oświecony Xżę, którá na ziemi uſzanowanie, i ofiary odbieraćby powinna; ale częſto, gdzieby naypotrzebnieyſzą była, tam ią znaleść naytrudniey. Drogie naſienie iey na gór wierzchołkach z ciężkością przyimuie ſię; bo wiatry gwałtownieyſze wynioſą go, ani przy bitych gościńcach; bo pyły przechodzącego tłumu uduſzą go.

lubi niziny i uſtronia; gdzie chociaż go zdybać nayłatwiey, ſzukać go przecie nie chcemy.

Złoto tak blaſkiem ſwoim połudziło oczy ludzi, że zapominaiąc na dziedziczne cnoty panowanie, zuchwale ią z tronu zrzuciwſzy, bogactwo na mieyſcu iey poſadzili. Złoty ten bałwan, prawie powſzechnie odbiera ofiary ſwoie; w ten czas, kiedy iak powierzchowność, tak mózg i ſerce iego z twardego metallu ſą.

Ofia-

Ofiaruiąc zebrane Zabawki moie Jaśnie Oświecomemu Waszey Xiążęcey Mości, *trafiam ſzczęśliwie na cnotę w naywyżſzym ſtopniu, z wiadomością rzeczy naydoſkonalſzą i z urodzeniem naywyżſzym połączoną. Jeżli nie maſz małości, tylko przez porównanie do rzeczy więkſzey; dzieło to moie, które na piſma wieku naſzego dość drobne było, zdaie mi ſię teraz, że prawie niczym ieſt, porównane z wielkością tego, który ofiarę odbierać ma.*

Obywatele Ateńſcy, według możności ſwoiey, Sokrateſowi dary oddawaią. Eſchines tylko powiedział: Ja (mówi) Sokrateſie, ubogim ieſtem; i w tym ubóſtwo moie naywięcey dolega mię, że niczego dać ci nie mogę, coby przynaymniey cokolwiek wielkości twoiey wyrównało. Skończył Eſchines, ſiebie ſamego Sokrateſowi oddaiąc. Tak i ia kończę.

J. O. W. Xcey Mci

nayniżſzy ſługa

Franciſzek Karpińſki.

SIELANKI.

SIELANKI.

DO JUSTYNY.
o Wdzięczności.

DOkąd płynieſz, rzeczko mała!
Nieſieſz dań krolowi twemu,
Wodyś od morza doſtała,
Wracaſz ią morzu ſwoiemu.

Nic cię w biegu nie zatrzyma,
Ni drzewo, ni brzeg zielony,
Juſtyna z ſwemi oczyma,
Ni Koryla flet uczony.

Juſtyno! patrz, ta ſmereka
Jak bardzo w górę ſię wſpina!
Mniemaſz, od ziemi daleka,
Że iuż o niey zapomina?

Spuſzcza iey ſwoie naſienie,
Ztąd ią młodzieżą okrywa;
I za ſamo wyżywienie
Stem darów ieden dar zbywa.

Być wdzięczną, ty nieznaſz tego,
W twym uporze nie odmienna,
Nie życzęć ia ci nic złego;
Aleś ieſt ſroga, kamienna.

Może me zaſługi małe
Niewarte twoiey wdzięczności;
Ale to ſerce zbolałe
Warte całey twey litości.

Kiedyś cię ktoś ſpyta z boku,
A gdzież ieſt to dobre chłopię?
A ia w tym wdzięcznym potoku
Już ſię na ten czas utopię.

POŻEGNANIE
z Lindorą w górach.

Podźmy na koniec ſmutnego Kluczowa.
Tam ią w śrzód łąki będziemy żegnali;
I choć przed okiem naſzym las ią ſchowa,
My ieſzcze za nią będziemy wołali:
Lindoro! cożeś zrobiła?
Sierotyś nas zoſtawiła.

Rzeczko ty mała! w które tylko kraie
Popłynieſz, wſzędzie powiaday po drodze:
Ze iuż Lindora z nami ſię rozſtaie.
Bądź świadkiem, iak iey żałuięmy ſrodze.
Lindoro! cożeś zrobiła? &c.

Powiedzcie laſy, i wy góry dawne,
Czy piękniey ſzego co w tych ſtronach było?
Jak wy będziecie odtąd z tego ſławne!
Lecz iak ſię prętko światło waſze ſkryło?
Lindoro! cożeś zrobiła? &c.

Wieśniak ſwym małym dzieciom kiedyś powie:
Dziatki! Lindory wyście nie widzieli:
Piękna, iak wioſna, i czerſtwa, iak zdrowie:
Biała, iak ten śnieg, co ſię w górach bieli.
Lindoro! cożeś zrobiła? &c.

Paſterze ſwoie trzody porzucali,
Zeby ią widzieć. a harde z pięknego
Ciała paſterki twarz ſwą zaſłaniali.
Dziatki, ciężkoż wam widzieć co rownego?
Lindoro! cożeś zrobiła? &c.

Już po nad rzeczkę nie będziesz chodziła,
I bielſzey nogi nikt w niey nie umyie!
Oko weſołe, uſta, i twarz miła,
Wſzyſtko ſię z twoim oddaleniem kryie.
Lindoro! cożeś zrobiła? &c.

Nie maſz Lindory! czegóż tu czekamy?
Rozbiegniymy ſię w różne gòr tych ſtrony.
Co nam po wſzyſtkich? Lindory nie mamy.
Zoſtał nam po niey żal nie utulony.
Lindoro! cożeś zrobiła? &c.

DO

DO

JUSTYNY.

Tęſkność na wioſnę.

Już tyle razy ſłońce wracało,
I blaſkiem ſwoim dzień ſzczyci,
A memu światłu cóż to ſię ſtało?
Ze mi dotychczas nie świci.

Już ſię i zboże do gòry wzbiło,
I ledwie nie kłos chce wydać.
Całe ſię pole zazieleniło;
Moiey pſzenicy nie widać!

Już ſłowik w ſadzie zaczął ſwe pieśni,
Gay mu ſię cały odzywa.
Kłucą powietrze ptaſzkowie leśni;
A móy mi ptaſzek nie śpiwa!

Już tyle kwiatòw ziemia wydała
Po onegdayſzey powodzi,

W różne śię barwy łąka przybrała;
A moy mi kwiatek nie ſchodzi!

O wioſno! pókiż będę cię prośił,
Goſpodarz zewſząd ſtroſkany?
Jużem dość ziemię łzami uroſił:
Wróć mi urodzay kochany.

Rozstanie się Medona.

RZucaiąc trzodę i dawne koszary,
Zrażony Medon w insze brał się kraie.
Na próżno mu to Filon ganił stary;
On sobie mowić i słowa nie daie.

Uparł się; znowu radby się odmienił:
Często się tędy obeyrzy nie znacznie,
Gdzie się Palmiry piękny sad zielenił:
Nareszcie usiadł, i tak śpiewać zacznie.

Ona tam może ze mnie się naśmiwa,
I te łzy wierne dziecińſtwem nazywa;
Albo ten żal móy sądzi za zmyślony.
Już, mòwi, poszedł Medon naprzykrzony.
Palmiro! ia się nie wrucę,
Ciebie więcey nie zasmucę.

W śrzòd pięknych nocy czasem mi kazała
Spiewać; iam śpiewał, chociaż iuż i spała,

Tym ſobie ſłodząc, gdy mi ſię przykrzyło:
Jak ſię obudzi, będzie iey to miło!
Palmira ſię obudziła;
I wdzięczna mi tego była.

Po wiele razy za iey zgubionemi
Owcami biegłem przepaściami temi!
A ona tylko z góry tey patrzyła:
I owca iey ſię ze mną powróciła.
Palmira w rączki zapleſzcze:
Medon, ſzukay iedney ieſzcze.

Raz ią widziałem, iak przy źrzodle piła,
I śliczną ſwoią nogę ubłociła.
Na zaiutrz kwiatem brzeg cały uſłany,
Tam, gdzie białemi klękała kolany.
Palmira mię ſłodko wſpomnie:
Medon i tu myślił o mnie.

A w ten czas, kiedy biegła przeſtraſzona,
Co ią był napadł zły pies Palemona;
Ja za pſem goniąc nogę poraziłem;
A potym, iak ſię z ſąſiadem kłociłem?

Pal-

Palmira mi wśrzod ſwey trwogi,
Przykłada ślaz do nogi.

Ale ſię ona dziſiay odmieniła!
Kiedym iey śpiewał, to ſobie przykrzyła,
Przezemnie iey ſię owce rozproſzyły:
W kwiatach przy źrzodle, mowi, kolce były.
Palmira, (o Boże żywy!)
Wyrzuca mi, żem kłótliwy.

W dalekiey iakiey żyć będę krainie,
Gdzie iuż Palmiry biała twarz nie ſłynie:
Tam ſmutno chodząc, dam przykład każdemu,
Jak mało wierzyć ſercu kobiecemu,
Palmiro! ſwoieś zrobiła:
Jam zginął, a tyś zdradziła.

A gdyby ona ieſzcze poznała,
I mnie do dawnych łaſk przypuścić chciała
Medonie! .. prożna nadzieia odmiany;
Jey wyrok zawſze był nie odwołany.
Palmiro: i za cóż ieſzcze
Kocham cię? i za cóż ieſzcze?...

Tak śpiewał Medon. łza mu z oczu płynie:
Ledwie się podniosł, ledwie że się czuie.
Na tey, pod którą spoczywał, buczynie
Tak swoy żal ciężki krótko opisuie,

Drzewo to miiay, siekiro!
Tu rozstaiąc się z Palmirą,
Łzami Medon wylanemi
Poświęciłem go moiemi.
Jeśli z kochaiących iaki
Na te kiedy trafił szlaki;
A także w swoiey miłości,
Kochałeś bez wzaiemności:
Odnów, dla wieku poźnego
To pismo kompana twego.
A ty, o drzewo kochane!
Drzewem łez będziesz nazwane.

DO
JUSTYNY.
o Stateczności.

OTóż móy pies powraca do dawnego pana!
Obroża na nim ſtrzaſkana;
I kawałek łańcucha, którym był więziony,
Przyniòſł z ſobą ſchudzony.
Wſzakże tam miał wygodę, żywił cię dom cały,
Móy ty poczciwy pſie biały!
Przecież ſchudł; całeby mu porachował krzyże
Patrz, on mi rękę liże.
Juſtyno! ten pies mię wzruſza.
W tobie iakaś twarda duſza;
Moię ſtateczność tak dawną
Zbywa oziębłością iawną.

Sama Dorys onegdy, gdybyś wiedziała,
Jak mi ſię oświadczała!

Ona z żalem nademną często mi wspomina:
Nie kocha cię Justyna!
Porzuć tę niewdzięcznicę. — I płakać zaczęła.
Mnie także żałość zdięła.
Chociem płakał dla ciebie; ona się cieszyła.
Żal mi iey, że się myliła,
Wszystko mi obiecywała,
Zeby mię iak oderwała.
Słaba to zasadzka była:
Rozpusta, sidła stawiła.

Bogaty Akast rad mię w swym domu przyimuie;
Co mi nie obiecuie?
Z iednego z nim puharu piię; iedna stawa
Przed nim i mną potrawa.
Wraz z nim chodzę, wraz sypiam: ia go ieden bawię,
Nocy z nim tęskne trawię.
Nie ma nic tak drogiego, coby mię znęciło:
Z tobą mi bardziey miło!
Sto inszych za ciebie daię:
Ja zawsze przy tym obstaię:
Akaście! niechże ia zginę,
Nie masz nad moią Justynę.

Filon,

Filon, ow móy przyiaciel, ow móy doświadczony,
Raz mię pytał ſtrwożony:
Czego tak ſmutny chodziſz? i za iaką ſtratą
Nudziſz? iam weſtchnął na to.
Nie ieſz, mòwił, nie ſypiaſz, ey, czy nie Juſtyna
Tego ſmutku przyczyna?
Płakać potrzeba było; ia czczym śmiechem zbyłem.
Przyiaciela zdradziłem!
Otóż mi radził doktory.
W ten czas, gdym dla ciebie chory,
O żadne leki nie ſtoię.
Juſtyno! ty zdrowie moie.

Cóż ieſt? żeś nie użyta na przeciąg tak długi
Moiey wierney zaſługi!
Często ſobie mówiłem: biedny Korydonie!
Lżey ci będzie na ſtronie.
Porzuć, kiedy niewdzięczna. Potym żal mi było
Lat, co ſię przepędziło

Zal i ciebie porzucić. Cóż zrobię ſtroſkany!
Tylko czekać odmiany.
Juſtyno! pies mòy powrucił:
Nie darmo ſię biedny ſmucił,
Jego ſtateczność mię wzruſza.
W tobie iedney twarda duſza!

DO
MOTYLA.

O Jakież ſkrzydełka iego!
Barwa błękitna z różowym:
Na głowie coś zielonego,
A ſam w pancerzu ſtalowym.

Motylu, piękny Motylu!
Ja ciebie dziś złapać muſzę.
Tylko ſtanę przy tym dylu,
Złapię; gałązki nie ruſzę.

Do moiey miłey Juſtyny
Ponioſę cię z ſkwapliwością.
Moy ty, Motylu iedyny,
Z iakąż cię przyimie radością!

Ona ci porobi klatki:
Maiem cię w około oſłoni.
Każe zbierać różne kwiatki:
Jeść będzieſz z iey białey dłoni.

Zeby ci tęſkno nie było,
Ja ſzukać drugiego będę:
Jeśli wam tak w parze miło,
Jak ia, z Juſtyną gdy ſiędę.

Nie bòy ſię śmierci z iey ręki;
Zyi, pòki zechceſz na świecie.
Ona nie patrzy bez męki,
Choć brzydką muchę kto zgniecie.

Oh! on poleciał w gęſtwiny!
Nie złapię. . . pròżno ſię kłòcę.
Z czymże do moiey Juſtyny,
Z czymże ia z pola powrócę?

DO
SKOWRONKA.

Skowronku! cóż cię tak rano zbudziło?
Do wſchodu ſłońca ma być ieſzcze wiele.
Ja ſpać nie mogę, bo mi żyć nie miło:
Ale co ciebie budzi w twym popiele?

Nie śpię, że moia przy mnie nie nocuie:
A ty, że twoia przy tobie ſpoczywa.
Równo nas ſzczęście i ſmutek koſztuie:
Tylko twoy niewczas ſłodkim ſię nazywa.

Jakże ſię w górę coraz wyżey wznoſi,
Zoſtawiwſzy ſwą ſamicę wśród roli!
Niby ią łaie, niby o coś proſi;
Niby ſię ſmuci, i niby ſwywoli.

On zawſze zrana ſwey kochance śpiewa;
Ona ſię cieſzy, iak nad nią wzlatuie.
Czaſem nad głoſem iego ſię zdumiewa,
A czaſem ſama coś mu potakuie.

Jego

Jego gorętſzych pora pewnie była
Miłości, co nim tak w górę rzuciły:
Która, kiedy go razem wyniſzczyła,
Równo ku ziemi upada bez ſiły.

Nikt nie opowie żal nie utulony
Patrzącey na to ſmutney iego pary.
Jakaż pociecha! kiedy otrzeźwiony
Znalazł ſię bliſko ſwey kochanki ſzaryi.

Skowronku! ia cię mam za ſzczęśliwego;
Skuteczne leki maſz na pogotowiu.
Mnie nic podobno nie zleczy chorego:
Zazdroſzczę twoiey ſłabości, i zdrowiu.

KORY-

KORYDON.

Łąko zielona! nie zwabiſz mię więcey:
Ani pieſzczony przedtym głos ptaſzęcy,
Ani, ſwym ſłodkim ſzumem głaſzcząc uſzy,
Strumień mię wzruſzy.

Wſzyſtko to z dawną wolnością mi ginie.
Strumień dziś tylko ſmutno mrucząc płynie:
Sama okropność po łąkach przebywa:
Jęcząc, ptak śpiwa!

Palmiro! wroć mi pierwſzą wolność moię;
Albo weź życie, o które nie ſtoię.
Jeſteś niewdzięczna, choć wieſz, że cię lubię.
Ot.., ia ſię zgubię.

Kiedy to mówiąc, rozpacz już go brała;
Wſzyſtkiego tego Palmira ſłuchała,
Ukryta w krzaku, razem cała zbladła:
Bieży, i padła.

Nie

Nie gub ſię, rzekła; mnie żyć z tobą miło!
Ja miałam miłość, śmiałości nie było.
Pozwolcie czaſem bronić ſię płci naſzey
Odwadze waſzey.

Kiedy oſtatnich ſłów tych domawiała;
Okropna przedtym łąka odmłodniała,
Ròża ſię razem rozwiia, ptak w koło
Spiewa weſoło.



KORY-

KORYDON SZCZĘŚLIWY.

Myśl z Katulla.

Tu, tu, Palmiro! na tey murawie
Słodkich uſt twoich daſz mi całować;
Tu razem będziem, w miłey zabawie,
Pocałowania naſze rachować.

Pocałuię cię naprzòd tyſiąc razy,
I potym zaraz razy ſto tyſięcy.
Słodka Palmiro! Palmiro bez zmazy!
Pocałowania wartaś ieſzcze więcy.

Ale nic nie mów, choćby cię kto badał,
Pocałowania żeć tyle rachuię:
Ażeby człowiek złośliwy nie gadał,
Że ſię Palmira tak wiele całuie.

SMUTNY KORYDON,
Na śmierć Palmiry.

KOrydon dopadł pożądaney ciszy,
W ktòrey go tylko źwierz lasowy słyszy.
Tam flet o drzewo tłucze: z nóg się wali,
I tak się żali.

Już ia grać więcey nie będę na tobie,
Moią Palmirę położywszy w grobie!
Już z nią na chłodzie pod sosną nie siędę:
Grać iey nie będę.

Niech tam wilk srogi dusi moie trzody,
Niech piie, kto chce, mym kuszem do wody;
Nie masz Palmiry, co wraz zemną piła,
Gdy spieka była.

Płacz, mòy psie wierny! ona cię lubiła,
Ona cię syrem i mlekiem karmiła:
Ty teraz zdechniesz z głodu, mnie z żałości
Wyschną te kości,

Przyi-

Przyidźcie, pasterki, z okolicy całyi!
Na grób iey kwiaty będziecie rzucały;
I chodząc w koło zimney iey mogiły
Tę pieśń nuciły:

„ Palmiro! pewnie ty nie czuiesz tego,
„ Jak boleiemy z rozłączenia twego!
„ Ni Korydonem twym się nie turbuiesz.
„ Ty nic nie czuiesz!

„ Wczoraś tak miło na nas poglądała,
„ A dziś, iakbyś to nigdy nas nie znała;
„ Zimno u siebie twe siostry przyimuiesz,
„ Ty nic nie czuiesz!

„ Któż między nami iaką zrobi sprawę?
„ Kto nam na wiosnę powydziela trawę?
„ Kto zgadnie, wiele owce mleka dały
„ Na wydoy cały?

„ Nieśmyż, w ostatnie góry i niziny,
„ Smutne sieroctwa naszego nowiny.
„ Niech skała skale podaie żal szczyry
„ Z straty Palmiry. „

Tak iey śpiewaycie. A ia kamień biały
Położę na iey grobie; i ten mały
Sam ſwoią ręką nadgrobek wyznaczę:
„ Tu ſwey Palmiry Korydon płacze! „

LAURA i FILON.

LAURA.

JUż mieſiąc zeſzedł, pſy ſię uśpiły,
I cóż tam klaſzcze za borem.
Pewnie mnie czeka móy Filon miły
Pod umowionym iaworem.

Nie będę ſobie warkocz trefiła,
Tylko włos zwiążę ſplątany:
Bobym ſię bardziey ieſzcze ſpozniła;
A móy tam tęſkni kochany.

Wezmę z koſzykiem maliny moie,
I tę pleciankę różowę.
Maliny będziem iedli oboie;
Wieniec mu włożę na głowę.

Prowadź mię teraz miłości śmiała:
Gdybyś mi ſkrzydła przypięła!
Zebym nayprędzey bór przeleciała,
Potym Filona ściſnęła.

Oto iuż iawor. . . Nie maſz miłego!
Widzę, że ieſtem zdradzona!
On z przywiązania żartuie mego;
Kocham zmiennika Filona.

Pewnie on teraz koło bogini
Swey czarnobrewki Dorydy:
Rozrywkę ſobie okrutną czyni,
Koſztem mey hańby i bidy.

Pewnie iey mówi: że obłądzona
Wpieram ſię w drzewa i bory,
I, miaſto iego białego łona,
Sciſkam nieczułe iawory.

Filonie! w ten czas kiedym nie znała
Jeſzcze miłości ſzaloney;
Pierwſzy razem ią w twoich zdybała
Oczach, i mowie pieſzczoney.

Jakże

Jakże mię mocno ubezpieczała,
Ze z tobą będę szczęśliwą!
A z tym się chytrze ukryć umiała,
Ze bywa czasem fałszywą.

Słabą niewinność łatwo uwiodą!
Teraz wracaiąc do domu,
Nauczać będę moią przygodą,
Zeby nie wierzyć nikomu.

Ale ktoż zgadnie, przypadek iaki
Dotąd zatrzymał Filona?
Może on dla mnie zawsze iednaki,
Możem ia prożno strwożona.

Lepiey mu na tym naszym iaworze
Koszyk, i wieniec zawieszę.
Jutro paść będzie trzodę przy borze:
Znaydzie... iakże go pocieszę!

Oh nie! on zdrayca; on u Dorydy.
On może teraz bez miary
Na sprosne z nią się wydał niewstydy;
A ia mu daię ofiary...,

Widziałam wczoray, iak na nią mrugał;
  Po tym coś cicho mówili.
Pewnie to dla niey kiy ten wyſtrugał,
  Co mu ſię wſzyſcy dziwili.

Jakżeby moią hańbę pomnożył,
  Gdyby od Laury uwity
Wieniec, na głowę Dorydy włożył,
  Jako łup na mnie zdobyty?

Wianku różany! gdym cię ſplatała,
  Krwią̨m cię rąk moich ſkropiła:
Bom twe naymocniey węzły ſpaiała,
  I z robotą̨m ſię kwapiła.

Teraz bądź świadkiem moiey roſpaczy,
  I razem naucz Filona;
Jako w kochaniu nic nie wybaczy
  Prawdziwa miłość wzgardzona.

Tłukę o drzewo koſzyk mòy miły:
  Rwę wieniec, ktòrym ſplatała.
Te z nich kawałki będą świadczyły,
  Żem z nim na wieki zerwała...

Kiedy

Kiedy w chrościnie Filon ſchroniony
  Wybiegł do Laury ſpłakanyi;
Już był o drzewo koſzyk ſtłuczony.
  Wieniec różowy ſtargany.

FILON.

O popędliwa!.. o ia niebaczny!..
  Lauro .. poczekay... dwa ſłowa...
Może wyſtępek móy nie tak znaczny,
  Może zbyt kara ſurowa.

Jam tu przed dobrą ſtanął godziną,
  Długo na ciebie klaſkałem:
Gdyś nadchodziła, między chrościną
  Na umyślnie ſię ſchowałem.

Chcąc taiemnice twoie wybadać,
  Co o mnie będziesz mówiła?
A ztąd ſzczęśliwość moią układać.
  Ale czekałem zbyt ſiła.

Pierwſze twe ſkargi o Dorys były:
  Sądź o mnie, Lauro, inaczyi.

Kogożby wdzięki tamtey wabiły,
Kto cię raz tylko obaczy?

Prawda: że czasem z nią się bawiło,
Maiąc znaiomość od długa:
Ale kochania nigdy nie było.
Nie iuż ten kocha, co mruga.

Oto masz ten kiy, po nim znamiona
Niebieskie gładko rzezane;
W gòrze zobaczysz nasze imiona,
Obłędnym węzłem związane.

Cożem zawinił, byś mię gubiła
Przez twóy postępek tak srogi?
Czyliż dla tego, żeś ty zbłądziła,
Ma ginąć Filon ubogi?

Jeśli się za co twych gniewów boię;
To mię ta rozpacz strapiła.
Drogom kupował ciekawość moię,
Łzamiś ią swemi płaciła.

Ale w tym wſzyſtkim złość nic nie miała:
Wſzyſtko z powodu dobrego.
Ja wiem, dla czegoś tyle płakała;
Ty wiesz, móy podſtęp dla czego?

LAURA.

Daymy iuż pokoy troſkom i zrzędzie:
Ja cię niewinnym znayduię.
Teraz mòy Filon drożſzy mi będzie,
Bo mię iuż więcey koſztuie.

FILON.

Teraz mi Laura za wſzyſtko ſtanie,
Wſzyſtkim paſterkom przodkuie.
I do gniewu ią wzruſza kochanie,
I dla miłości daruie.

LAURA.

Jedna ſię Dorys wyłączyć miała,
Jey pierwſze mieyſce naznaczę.
Na to wſpomnienie drżę zawſze cała:
Cóż, kiedy cię z nią obaczę!

FILON.

Dla twego, Lauro! przypodobania,
Przyrzekam ci to na głowę:
Chronić ſię będę z nią widywania,
W żadną nie wnidę rozmowę.

LAURA.

Czymże nadgrodzę za te ofiary?
Nie mam prócz ſerca wiernego.
Jedne ci zawſze przynoſzę dary?
Przymiy ie, iak co nowego.

FILON.

Któżby dla ciebie nie zerwał węzły
Przyiaźni, co mię nęciły?
W twey piękney twarzy wſzyſtkie uwięzły
Nadzieie moie, i ſiły.

LAURA.

Ja mam mieć z płaczu po twarzy ſmugi;
Ale iak mi ſię nadarzy,
Spleść i ułożyć warkocz móy długi;
Mowią, że to mi do twarzy.

FILON.

FILON.

Gdyby mi Akaſt dawał ſwe brogi
Ze złotem ſwoiey Izmeny;
Rzekłbym: Akaście: tyś ieſt ubogi,
Bo moia Laura bez ceny.

LAURA.

Ani ia pragnę ſzczęścia wielkiego;
Które (choćbym też i miała)
Za ieden uśmiech Filona mego
Zarazbym z chęcią mieniała.

FILON.

O światło moie w pośrzód tey nocy!
Zagrodo mego ſpokoia!
Ty ieſzcze nie wiesz o twoiey mocy,
A ia czuię ią!... o moia!

LAURA.

Połoź twą rękę, gdzie mi pierś ſpada,
Czy ſłyſzysz to ſerca bicie?
Za uderzeniem każdym ci gada;
Że cię tak kocha, iak życie.

FILON.

Day mi uſt... z których i niepokoie;
I razem ſłodycz wypływa.
Tą drogą poſzlę zapały moie,
Aż gdzie twa duſza przebywa.

LAURA.

Czy w każdym roku taka z kochania,
Jak w oſimnaſtym, mozoła?
Jeśli w tym nie masz pofolgowania,
Jak człek miłości wydoła?

FILON.

Sciśniy twoiego, Lauro! Filona,
Ja cię przyciſnę wzaiemnie:
Serca zbliżone łonem do łona,
Rozmawiać będą taiemnie.

LAURA.

Ty mię daleko ściſkasz goręcey,
A iam cię tylko dotknęła;
Nie przeto, Filon, kochasz mię więcey.
Miłość mi ſiły odięła.

FILON.

FILON.

Lauro! coś dotąd dla mnie świadczyła,
Jeſzcze dowodzi to mało;
Ze mię tak kochasz, iakeś mowiła:
Jeſzcze mi proſić zoſtało.

LAURA.

Tegom ſię miała z ciebie ſpodziewać?
Jakże to ſkarga niezbożna!
Nie proś, nie każ mi; ty mię chceſz gniewać,
Kochać cię więcey nie można.

FILON.

Kiedyż mię za to nie będzieſz winić?
I kiedy będzieſz wiedziała,
Co do dziſieyſzey łaſki przyczynić;
Ze taka miłość nie cała?

LATRA.

Filonie! widziſz wſchodzące zorze!
Już to drugi raz kur pieie.
Trochę przydługo bawię na dworze . . .
Jak matka wſtała! . . . truchleię.

FILON.

Zal mi cię puścić; nie śmiem cię trzymać.
Kiedyż przyśpieſzy czas drogi?
Gdy z moią Laurą i ſłodko drzymać,
I bawić będę bez trwogi!

LAURA.

Mieſiącu! iuż ia idę do domu,
Jeźliby kiedy z Dorydą
Filon tak trawił noc pokryiomu,
Nie świeć; niech na nich dżdże idą.

PA-

PASTERZ.
Do Owieczki ſtraconey.

NA te bezdroża, Owco ulubiona,
Idzieſz bez twego paſterza!
Burźliwy wicher, zima uprzykrzona,
Ciężkie ci przeyścia zamierza.

Przez którekolwiek krainy przechodźić
Będzieſz, mey trzody ozdobo!
Wſzędzie móy ſmutek za tobą ma chodzić,
I tęſkność moia za tobą.

Może cię niebo w twych trudach pokrzepi,
I da beſpieczne noclegi;
Może cię iako źwierz dziki prześlepi:
Boś ieſt tak biała, iak śniegi.

Owieczko moia! duſzy mey duſzo,
Nadzieio moiey nadgrody!
Zadne mię teraz rozrywki nie wzruſzą,
Bom ſtracił czoło mey trzody.

Ja ſię po tobie doſyć nie zaſmucę:
    Nie ſtrawię żalu przyczyny.
Ja dziewiędzieſiąt i dziewięc porzucę:
    Poydę cię ſzukać iedynyi.

DO PRZYIACIOŁ.
Po rozſtaniu ſię z Rozyną.

Goście wy moi, moi przyiaciele,
Jakże was ſmutno przyimuię!
Rozyna moie zabrała weſele:
Samego ſiebie nie czuię.

Filon, połoź mi twą rękę na głowie;
Klitus niech pierſi pilnuie.
Może ſię waſzym uściſkiem pozdrowię,
Może mi boleść zfolguie.

Jam iey przed ſamym iuż wyiazdem śpiwał:
Ona mię wdzięcznie ſłuchała.
Kto wie? możem ſię na tym oſzukiwał,
Ze za mną ſzczery żal miała.

Przyſzedł nieſzczęſny moment pożegnania:
Zegna ſłodkiemi wyrazy.
Mnie ſię Rozyna po dwa razy kłania;
Spoyrzała na mnie dwa razy.

Kiedy

Kiedy wychodząc prog nasz przestąpiła,
Dopiero mnie ból przygniecie.
Ona coś do mnie ieszcze przemówiła;
Jam nie pamiętał o świecie.

Gdy się tak we mnie żal z miłością swarzy,
Na wyższe mieysce wstąpiłem;
Jeszczem chciał światła zachwycić iey twarzy,
Które pomału gubiłem.

W reszcie zniknęła; a boleść przybiegła,
I tęskność na nic nie czuła:
Jedna z nich całą głowę mi zaległa,
A druga serce otruła.

Filonie! wkrótce iedziesz w tamte kraie,
W których Rozyna siaduie.
Powiedz iey: że ia życiu memu łaię,
I że do tych czas choruię.

Ale z nią w długie nie zachodź rozmowy,
Jeśli chcesz, żebyś wypłynął:
Słodkiemi łatwo zaleie cię słowy,
Jam sobie ufał, i zginął.

Nie

Nie patrz iey w oczy, ieśli chcesz uyść cały:
W tym ią nayciężey zmocować.
Niewiem, co tam z nich te rzuca postrzały;
To wiem, że trzeba chorować.

Chociaż iey nie znasz, sam ią zgadniesz w tłu-
mie:
Poświadczy tamta kraina.
Co naypięknieyszą ma twarz przy rozumie,
To pewnie będzie Rozyna.

DO
JUSTYNY.

DRzewa! wyście małe były,
Gdym się rozkochał w Justynie.
Dziśeście się rozkrzewiły:
Gałąź wasza chłodem słynie.

Insze mi iuż owoc dały,
Com ie w drobnym ziarku sadził
Na szczęście moiey zuchwałey.
Drzewa! iakżem ia się zdradził!

Ona mnie dotąd nie kocha.
Choć iey wzgardy wznoszę skromnie,
Trzyma mię, że iest nie płocha;
Martwi, że niedba i o mnie.

Justyno moia! Justyno!
Patrz, iak mam usta spieczone:
Jak z oczu moich łzy płyną.
Ach! ty nie patrzysz w tę stronę!

Przy-

Przyſtąp ieno ku mnie bliżey,
Bo wy czaſem i leczycie:
Ta ſię choroba choć ſzyrzy,
Jey zaraza ieſt na życie.

Nie wieſz, co miłość koſztuie?
Jak ogień wnętrzności trawi;
Jak rdza żelazo zmocuie,
I raz głęboki zoſtawi.

Skłonność twoia do litości,
Głośna w okolicy całyi
Samey nie znaiąc miłości,
Raniſz mię, chociem zbolały.

Kiedyś tak w uporze trwała.
Otóż ia cię odſtępuię.
Ach! tyś łaſkawie ſpoyrzała!
Nie wierz: ia tylko żartuię.

DAFNE

DAFNE i KORYDON.

JAkiż to kray ieſt? (Dafne ſię żaliła)
Ani tu pięknych owiec widać ſiła,
Ani tu drzewo proſto rośnie w górę,
Liściem okryte ledwie znaydzie które,
I ptaſtwo leśne tu śpiewać nie umi,
I potok brudny ſmutno tylko ſzumi.
I lud tuteyſzy dla zupełney zgody,
Taki, iak owce, drzewo, ptaſtwo, wody.
Korydon, który za drzewem ſchowany
Wſzyſtko to ſłyſzał, wzruſzył ſię tym znacznie;
Bo kochał Dafnę, i chciał być kochany.
Dla tego z żalem odpowiadać zacznie:
O Dafne! kiedyś pierwſzy raz ſtanęła
W tey okolicy; iakeś nas uięła
Twemi oczyma, twym ruſzeniem ciała
Nie toś, oh! nie to nam obiecywała.
Wſzyſtko tu ganiſz; aż do drzew i wody.
Cóż ci zrobiły owiec naſzych trzody?
Wſzyſtkie poſłuſze ſwemu paſterzowi:
Zgadaią prawie, co im tylko powi
Zadna ſwą wolą nie póydzie na ſtronę:

Pasą ſpokoynie, chociaż nie ſtrzeżone.
dą na naſze ſkinienia z ochotą,
Kochaią zwierzchność; i to ieſt ich cnotą.
Piękna topolo! tyś u Dafny krzywa,
Tu często paſterz przed ſłońcem ſpoczywa;
Tu w miłym chłodzie paſterek zabawa,
Tu prawie zawſze zieleni ſię trawa:
Mirtyl Klorydy tu pochwały śpiwa.
Piękna topolo! tyś u Dafny krzywa.
Spokoyne drzewa! ſchronienie paſterza,
Mieſzkanie ptakow, i leśnego źwierza!
Jam ieſt wam wdzięczny, was za świadków miałem,
Jak często Dafnę tutay wſpominałem!
Wyście iey imię przez wasz odgłos miły
Całe do moich uſzu przynoſiły.
O iakże mię ta iey niewdzięczność gniecie,
Szczęśliwe drzewa, że nic nie czuiecie!
Oto ten czyżyk, ten czyżyk zielony:
Tylko od ſamey natury uczony,
Spiewa, iak umie, ſwey ſamicy ſzaryi;
Ale iey pilnie dochowuie wiary.
On na tę gałąź zawſze przylatuie,
Gdzie wie, że iego kochanka nocuie.

Ledwie

Ledwie co zorza poranna zaświta,
Już ią pieśniami ſwych miłości wita:
Ona ſię cieſząc z tey iego ofiary,
Nową ma ſłodycz chociaż w pieśni ſtaryi.
  Miły ſtrumieniu! brudnym cię nazwano:
Brudnyś, ale twey cnoty nie poznano.
Ty zawſze wierny twoiemu brzegowi:
Choć iakie złoty zleią, nikt nie powi,
Zebyś ſwe dawne opuściwſzy brżegi,
Po obcych łąkach miał ſwoie noclegi.
  Tak ieſt, o Dafne! w ktòrą ſpoyrzysz ſtronę,
Wſzyſtko wierności cechą naznaczone.
I lud tuteyſzy, dla zupełney zgody.
Taki, iak owce, drzewo, ptactwo, wody.
W tey okolicy, z kądeś tu przybyła,
Może pięknieyſzych paſterzow ieſt ſiła,
Może ci piękniey miłość opiſuią,
Ale iey nigdy tak mocno nie czuią!
A choćby czuli, pewnie nie na długo.
U nas ieſt panią, u nich miłość ſługą.
Oni, co miaſta częſto nawiedzaią,
Tam ſię obłudy duchem napawaią.
Nam tu niewinną żyiącym proſtotą,
Wierność miłością, a miłość ieſt cnotą.

Tu

Tu kiedy pasterz powie, żeś mu miła:
Już z tym i umrze, choćbyś go zdradziła.
Dafne coś chciała mòwić o miłości;
Ale Korydon zemdlał od żałości.

O JUSTYNIE.

Wyszła Justyna, czas przeminął mglisty,
Rozzielenił się las móy gałęzisty.
Oczyma swemi wszystko czaruie;
Sprowadza burzę, albo wstrzymuie.

Gdzie tylko serce kochaiące było,
Wszystko się do iey białych nóg skłoniło.
Piękna królowo! cóż to się stało,
Ze w twoim państwie wesołych mało.

Wyszła Justyna, mówić mi zaczęła;
I zaraz radość serce me przeięła.
Rzekła: coś mi się o tobie śniło.
I to iey mowić do twarzy było.

DZIECI u MATKI.

GAłęzie lasu obsypał srzon siwy.
Pościnał rzeki Luty przeraźliwy;
Pławne na brzęgi pozarzucał łodzie,
I kazał chodzić po zdrętwiałey wodzie.

W tak twardey porze Kloryda z Filonem,
Piękna Palmira z swoim Korydonem,
Miłe ich dzieci, i przyiacioł grono,
Wyszli odwiedzić matkę oddaloną.

Pròżno ich sypkie zatrzymuią śniegi,
I lodem wzdęte odpychaią brzegi.
Przeszli zawady; bo miłość szła wprzody:
Zmiatała śniegi, i topiła lody.

Już się nakoniec po długiey podròży.
Znaiomey sobie dobrali ostroży.
Filon, co w młodych leciech tędy bywał,
Znacznieysze mieysca dzieciom pokazywał.

„Ta

„ Ta, mówi, miedza końcem gonitw była,
„ Gdy się ruchawa Chloe rozegźiła.
„ Temu, co pierwey przy nogach iey stanie,
„ Dawała iabłko, i pocałowanie.

„ Tu często Filis przy tym źrzodle spała,
„ Tu różno-wzorą kosę zapłatała.
„ Tu ią Korydon raz napadł w kąpieli;
„ Za co się potym długo nie widzieli.

„ W tym lesie Oront od swych psów ziedzony.
„ Stracił na psiarnię swóy byt, wiano żony;
„ A potym chodził od głodu wybladły.
„ A cóż, nie prawda? że go swe psy ziadły. „

Tak rozmawiaiąc, w reszcie u wrót staną,
I powitaią zagrodę kochaną.
Ale Korydon zaczął im rozwodzić:
„ Mnie się nie zdaie całym tłumem wchodzić.

„ Wielkie pociechy szkodliwe bywaią,
„ Ze nam się bardzo rzadko przytrafiaią;
„ A do nieszczęścia człek przyzwyczaiony
„ Zniesie go łatwiey, iak z nim oswoiony.

„ Niechby Palmira ze mną, z dzieckiem małym
„ Weszła napierwey ; a wy potym całym
„ Przyidziecie tłumem. Tak idąc powoli,
„ Radość nie cięży, i smutek mniey boli. „

Poszli za radą, i wnet się wkąd wkradną;
Ale ich czuyne sobaki opadną.
Briś wysłużony uszyma postrzyże:
Poznał swe pany, i ręce im liże.

Strach się dopiero w pasterkach ugasi,
Gdy widzą, iak się Filonowi łasi:
Skacze do góry w radości niezmierny.
Ten co miał kąsać, wzruszył ich pies wierny.

Palmira z swoim miłym Korydonem
Wiadomym iemu przebiegła uchronem,
Przyszli podedrźwi nic nie postrzeżeni,
I mroźną odzież strzepywali w sieni.

Justyna w ten czas modły gorącemi
Błagała Boga za dziećmi swoiemi:
„ Jeźli, powiada, choroba im szkodzi,
„ Jeźli nad niemi zły człowiek przewodzi;

„ Jzźli

„ Jeźli zamysłom ich opak się wiedzie,
„ Jeźli zmartwienie maią w złym sąsiedzie?
„ Ty, który lubisz wspierać łaską człeka,
„ Odmień to, Boże, coś dobry od wieka!

„ Niech się rozrodzą w mnogie pokolenia,
„ Jako te drzewa ich ręki szczepienia.
„ Niech pamiętaią na twoich łask siła,
„ A potym na mnię, com ich porodziła. „

Gdy matka takie nabożeństwo trzyma;
Weszła Palmira z siwemi oczyma,
Dziecie na ręku, gładka w twarzy, w stanie:
Za nią Korydon przyszedł niemięszkanie.

„ O dzieci moie! (zawoła Justyna)
„ Jakże to prętko Bóg na mnie wspomina.
„ On mnię wysłuchać, ledwiem wymówiła,
„ Daie mi łaskę: iam nie zasłużyła!

„ Niechże tu całe sąsiedztwo się zgarnie;
„ Niech wezmą owcę naylepszą z owczarnie,
„ I niech to wino dobędą co pręcyi,
„ Coby go mògł pić choćby syn ksiąźęcy.

„ O wielki Boże! cóżbym ieſzcze dała,
„ Zebym Filona dziſiay oglądała!„
Na to Korydon: „Matkę wſzyſcy znamy;
„ Filon tak kocha, iak i my kochamy.„

W tym weydzie rzeźwa Koryda z Filonem,
Z pięknemi dziećmi, i przyiacioł gronem.
Rzuci ſię matka, łza iey z ocz wytryſka:
Mówić nie może, i tylko ie ściſka.

Kiedy tym zbytkiem radości ſię poią,
I dzieci matkę otoczyły ſwoią;
Dawſzy coś czaſu na płacz pożądany,
W reſzcie zaczęli śpiewać na przemiany.

PASTERKI.

Zwarzyła zima piękne naſze zioła,
Cośmy z nich wili wielo-farbe pleci:
Otaczaiąc cię z radością do koła,
Oto maſz, matko, wieniec z twoich dzieci.

PASTERZE,

Miłe koſzary i ſłodką zagrodę
Porzucił paſterz; do matki ſię śpieſzy.

Ktoż

Ktòż za ſwe trudy miał większą nadgrodę?
My iey śpiewamy, a ona ſię cięſzy.

WSZYSCY RAZEM.

Swięta miłości ku rodzicom dzieci,
Co pierwſza świeciſz pomiędzy gwiazdami!
Jeźli do ciebie ten głos naſz doleci;
Mów tam za matką naſzą i za nami.

Bóg w ten czas ſpoyrzał z wyſokiego nieba.
Nad to. co ieſzcze żyć im było trzeba,
Przyczynił wſzyſtkim wieku tyle drugie,
Zeby z nich przykład brały lata długie.

NA ODMIENIONE NAD-PRUCIE.

PRucie! w którego przezroczyſtey wodzie
Białe umywa nogi Pokucianka,
Poźal ſię Boże! iuż po twey ſwobodzie,
Po twych rozrywkach w wieczór od poranka,
Ja ſiadłſzy nad twoim brzegiem,
Patrzyłem z roſkoſzą duſzy,
Jak czaſem ślicznym ſzeregiem
Pań twoich tabor ſię ruſzy.

Te częſto w iedną zebrane gromadę,
Przy twoich wodach obòz zakładały.
Weſołych ſwoich zabaw czyniąc radę,
Przechodnia w iego drodze zatrzymały.
Ta leżąc pod krzakiem śpiewa:
Ta iakąś do ſwych ma mowę.
Inſza co śmielſze zagrzewa:
Przebrniymy rzekę Prutowę!

Drugie

Drugie po równym goniąc ſię zarynku,
Za Korydonem kamyczki rzucaią:
Tylko mu przez to nie daią ſpoczynku,
Ale ſamochcąc w niego nie trafiaią.
Potym zgonionego, hurmem
Obſiadłſzy, gnietą kolany.
On ledwie dyſząc pod ſzturmem,
Cizſzy ſię, że ieſt złapany.

Prucie! iakżeś ieſt bardzo odmieniony.
Wody twe dziſiay cicho upływaią.
Smutnym gra tonem Korydon zniſzczony.
Slicznych twych córek ściefzki zaraſtaią.
Nie ſłychać głoſu Klorydy:
A Filis ſmutnemi ściegi
Wyſzywa klęſki Dorydy.
Ja przecie kocham twe brzegi.

NICE
Do Nieſtatecznego.

JUż wioſna kończy odmiany,
Swieci pogoda dzień cały;
Filenie nie utrzymany!
Tyś tylko ieden nieſtały.

Wſpomniy na pierwſze momenta
Poznania ſię naſzego;
Jakem ia była kontenta
Być więźniem więźnia moiego.

Jam ci ſię oddała cale
Serca nayczyſtſzą ofiarą;
Ty nim tak gardziſz zuchwale.
Niech ci ten będzie dar karą.

Filenie! ſłyſzyſz te grźmoty?
Ja na cię pomſty nie kładę.
Ale wiedz dla twey zgryzoty,
Ze ſię mści niebo za zdradę.

NA

NA POSĄGI
Rolnictwa i Poetyki.

Piękne boginie młodego świata!
W ten czas, gdy ieszcze kochał brat brata;
W ten czas, gdy żadney nie znano woyny,
I było szczęściem, żyć wiek spokoyny.

Jedna z potrzeby, druga z miłości
Matek zrodzone, wyście w słodkości
Swiatem rządziły; przychylne człeku
Dwie rówienniczki pierwszego wieku.

Dzisiay po większey części pogardzone
Poszłyście w kraie iakieś oddalone:
Tu tylko wasze obrazy zostały,
Marne te dawney wyrażenia chwały.

Wróćcie się wielkie ziemianów boginie!
Zbiorę tych ieszcze, gdzie wasza cześć słynie.
Wystawię ołtarz, pierwszy was pochwalę:
I sam wam święte kadzidło zapalę,

A potym u nòg waſzych wraz z Juſtyną
Złożę ofiarną pſzenicę i wino.
Wy nam oboygu w ten czas pozwolicie
Spiewać ſzczęśliwe kochaiących życie.



PRZY-

PRZYKŁAD UCZYNNOŚCI.



PRZYKŁAD UCZYNNOŚCI DLA BLIŹNIEGO.

ALmanzor między ſąſiadami był, iak ociec w pośrzodku dzieci ſwoich. Drżwi iego otwarte dla każdego; i głodu we wſi nie było, póki u niego chleba ſtawało Ale niebo zamknęło deſzcze: i ſucha rola ſtała ſię niewierną; ſtraciwſzy zupełnie naſienie; i przyſzłego żniwa nadzieię,

dzieię. Stało ſię, czego ſię bano, przyſzedł nakoniec głòd ciężki, i znalazł każdego w domu ſwoim. Dzieci, ten robak iedzący uſtawicznie, patrząc ną ręce matki ſwoiey z płaczem wołaią chleba, ktòrego im tak dawno obiecywała: a ona, próżno wytrząſa naczynie, w którym chowała zboże; i ieſzcze im ſię do iutra proſi. Indziey, nieſtrawną żołędzią napchany wieśniak puchnąć zaczął. Strapiony wierny przyiaciel iego radby go do śmierci ubiegł; i zdaie ſię być ſpokoynieyſzym, kiedy także na ſobie rówNą puchlinę poſtrzega. Siedząc pod dębem, ktory ich trucizną żywił, przyrzekaią ſobie wzaiemnie, że pierwey zmarły pogrzebiony będzie przez pozoſtałego; a poglądaiąc ſmutno na doł, ktòry ſobie iuż wykopał, przyczyniaią ieſzcze boleści, wſpominaiąc na dzieci ſwoie po leſie rozpierzchnione.

Powietrze, ten wierny towarzyſz głodu, iuż ſię zbliżało; kiedy Almanzor, przechodząc z ſynem po ulicy, napadł leżącego na ziemi człowieka zemdlonego, i w pòł obumarłym głoſem pożywienia proſzącego. Wzruſzyły ſię wnętrzno-

trzności iego, i pomyślił ſobie: na cóż mi tych ſprzętów w domu, ieżeli za nich chleb kupiony ſto ludzi od śmierci powròci? podzielę tę odrobinę zboża, którą mam ieſzcze, po między bliźnich moich; poiadę w kray iaki cudzy, gdziebym za móy dobytek chleba doſtał.

Tak myślił litóścią zdięty, i do ſyna ſwoiego mówić zaczął. „Ruſtanie, ſynu móy! wi-
„ dziſz te ſiwe włoſy na głowie moiey; znaki
„ to ſą lat wielu! przecież ieſtem rzeźwy, i
„ lekarz żaden w domu moim nie poſtał. Szczę-
„ śliwy to ſkutek przeſtawania na małym, bez
„ zbytecznych zabiegów, pomierności w napo-
„ iu i pokarmie, bez wyſzukiwania ich zbyt
„ wymyślnego; trzymania ſię zawſze prawdy,
„ bez pobłażania nikomu; udzielności dla bli-
„ źniego, bez fałſzu; znoſzenia przypadków,
„ bez pochylenia ſię; ſzanowania religii, bez
„ badania ſię w ſkrytościach iey: a ztąd błogo-
„ ſławieńſtwa nieba. Powiedz mi, ſynu! pa-
„ trząc na tego z głodu umieraiącego człowie-
„ ka, uczułżeś tę ſiłę mocnego politowania,
„ która zdaie ſię rożrywać wnętrzności? Po-

„ trzeba

„ trzeba, dzicię moie, ſkoczyć w wodę, ażebyś tonącego brata twoiego poratował; potrzeba nie żałować krwie twoiey, ieżeli bliźni twóy inaczey obronionym być nie może. „ Ktòżby dopiero marnego zbioru żałował, żeby nim drugiego w potrzebie nie wſpomógł? Jużem, iak widziſz, poſiwiał; a zawſze ſąſiadom chlebem i pieniędzmi moiemi ſłużąc, dotąd przecie niczego żądny nie byłem. Rozdaymy na zgłodniałych, co mamy pożywienia, weźmy tę trochę pozoſtałych pieniędzy; i ſzukaymy rychło w cudzym kraiu chleba dla braci naſzych. Nie ſtraciemy na tym, ſynu mòy! Ile tylko razy miałem ſpoſobność udzielenia chleba mego potrzebnym, zawſze to u mnie było znakiem wielkiego urodzaiu w roku przyſzłym. „

Tak Ruſtana uczył Almanzor. Rozeſłał zaraz pożywienie potrzebnieyſzym: zabrał pieniądze wſzyſtkie, i cokolwiek z koſztownych ſprzętów zabrać ſię mogło; i ruſzył wraz z ſynem w drogę.

Po

Po dniach kilku podróży, nocleg im przypadł w lesie, źwierz dziki w nocy poszarpał bydlęta, któremi iechali: a strwożonemu ztąd Rustanowi, tak ociec smutek rozwodził. „Ty, „widzę, synu! długo żyć nie chcesz, kiedy się „tak lada przypadkowi podaiesz. Jak tylko „wierzysz, że z ręki Boskiey wychodzi wszy„stko; na kogoż narzekać będziesz? albo kie„dy narzekanie, choćby naywiększe, szkodę „komu powròciły? z drugiey strony: Opa„trzność o każdym swoim myśli stworzeniu. „Zwierzowi drapieżnemu wyznaczyła cząstkę „między bydlętami naszemi; i nie na to stwo„rzonym iest, żeby głodem morzony był. „Niżeli człowiek ugłaskał rodzay koński, i „pochlebnemi nayprzod uwodząc go sposoba„mi zdradliwie, potym do ciężkiey zaprzągł „pracy; co rozumiesz? iak wiele przed tym „wieków upłynęło, że konie bez przeszkody „pod wilków były panowaniem? a to im pra„wo Bòg i natura w sercu ich napisała. Roz„sądźże teraz między wilkiem i człowiekiem; „a pamiętay nadewszystko, żebyś usprawiedli„wił Boga i naturę. „

Stanęli nakoniec w mieście, w którym żywności dostać spodziewali się; ale tam zastali surowy zakaz przedawania zboża, a to dla boiaźni głodu, którym także groził niedostatek. Dla tego, potrzeba było wiele ieszcze przyczynić drogi i wydatku; niżeli na reszcie przyszli do miasta, gdzie kupić można było.

Długą podróżą wycieńczeni, i niepomiarkowaną ceną zagadnieni, przedawszy sprzęty, i obrachowawszy resztę pieniędzy, znaleźli się w niedostatku, że ledwie kupione za to wszystko zboże, na domby ich wystarczyć mogło. W tym ciężkim stanie, oddaleni od swoich, bez przyiaciela i znaiomego, (bo tam iuż nie słynęły cnoty Almanzora) byli przymuszeni z żalem powracać z próznemi rękoma do domu swego; kiedy Rustan mówić zaczął: „Oycze „mdy! pamiętam nauki twoie; i widziałem, z „iaką przychylnością byłeś o dobro bliźnich. „Na cóżbym żył na świecie, gdybym się nie „starał naśladować ciebie?... iestem młody, „zdam się do pracy. Znaydziesz łatwo w tym „mieście pana iakiego, który mię w niewolę

„kupi.

„ kupi. Za te pieniądze doſtanieſz zboża; a „ powrót twóy do domu ożywi tyle ludzi u„ mieraiących. Ja tylko na wolności moiey „ tracę; a iakeś mię nauczał: potrzeba życie „ nawet ſame ofiarować dla życia bliźniego „ mego. Nie będzie komu płakać za inną w „ domu naſzym; (na coby ci patrzyć za przy„ kro było) matka ſtara iuż umarła. Ani ia w „ zaprzedaniu moim będę ſię mógł ſmucić, za„ wſze ſobie przypominaiąc: że wſpół-oby„ watele moi żyią wdzięczni oycu moiemu. „

Łzy ſię rzuciły z oczu Almanzorowi, które i ſmutek nad utratą tak dobrego ſyna, i radość nad wielkością cnoty iego wyciſnęły. Tak ieſt, ſynu! tak (mówił Almanzor, łkaniem przerywaiąc ſłowa) z pociechą patrzy niebo na ofiarę twoią. Bronić ci tego nie mogę; chociażbym cię nie chciał tracić z oczu, poki ieſzcze cokolwiek temi ſłabemi oczyma widzę. Mnie lata zrobiły nie zdatnym do niczego, że ci teraz tylko zazdrości muſzę. Bądźże wiernym panu, który ci ſię trafi. Jeżeli ci ſię co przykrego od niego przyda; znoś zawſze ſkromnie, i w bo-

i w boiaźni, iak niewolnik. Pokorą go uſpokoiſz; pokorą miłość ſobie u niego ziednasz. Nie oſzukuy go w pracy twoiey; a w ſłowie twoim bądź rzetelny, i ſtateczny.

Piękny z oblicza Ruſtan, i w ſamym kwiecie rzeźwey młodości, znalazł prętko na ſiebie kupca. Znaczne pieniądze odrachowano Almanzorowi, z umową; ażeby, ieżeli ſyna uwolnić zechce po trzech leciech, z zwyczaynym pożykiem oddane były: inaczey, wiecznym zoſtanie u pana ſwego niewolnikiem.

Dobrze opatrzony w zboże Almanzor powracał do domu; kiedy z daleka wſpół-obywatele, poznawſzy wozy dobroczyńcy ſwego, tłumami przeciwko niemu wyſzli. Już ſię im przebrało było podzielone równo miedzy nich pożywienie; i matki częſto wyſyłały dzieci ſwoie na gòr wierzchołki wyglądać powrotu Almanzora. Idźcie (mòwiły) on tam w polu, ieſzcze nie doieżdżaiąc, chleb wam rozdawać będzie, iego pożegnania, i naypierwſze z nami powitania, były zawſze dobroczynne. Ale długo powra-

wracały do domu dzieci fpłakane, niżeli przyfzedł nakoniec dzień obfitości i pociechy powfzechney, ktôrą płacz żalu i wdzięczności pomiefzał; kiedy fię dowiedzieli, iak fię dla nich wfpaniale Ruftan ofiarował.

Zniwo przyfzłe było plenne, i następuiące lata urodzayne zrobiły taniość w kraiu; a ztąd pofzła trudność przygotowania fię na wykupienie Ruftana. Kiedy iuż blifko naftępował czas odwożenia pieniędzy; przyiaciół fwoich zaftał Almanzor albo w niedoftatku, albo niewdzięcznych. Już i minęła pora umowiona, ftrapiony ociec! wrefzcie odważył fię iechać po fyna, chociaż znaczney iefzcze części pieniędzy nie miał. Chciał na mieyfcu iego zoftać; a fyn uwolniony prędzeyby fię o refztę poftarał. Ale ciężka choroba zatrzymała go w domu, którą nieznośny frafunek i praca wielka w tak pôźnym wieku fprowadziły. Czekał na łożku od dawna śmierci, niczym nie pociefzony ftarzec. Stracił i oczy, których nie żałował, ftraciwfzy (iak mówił) Ruftana, i nie maiąc iuż na co patrzyć na ziemi; kiedy nagle, ieden iuż tylko

pozostały z sług iego, a wiernie go w chorobie pilnuiący, o powrocie Rustana znać mu daie. Porwał się ieszcze z łożka umieraiący Almanzor; i zdało mu się z radości, że na nogach stoiąc z synem się swoim przywita. Ale w tym nadszedłszy Rustan: nie wstaway, mówił, oycze, ty widzę słabym iesteś! o iakże to pociechę moią miesza. „ Ja, synu! nie widzę, rzekł „ Almanzor; ale poznaię głos twoy. Rustanie, „ synu móy! ia cię podobno krótko i słyszeć „ będę. Powiedz mi rychło, iakim sposobem „ wyszedłeś z niewoli twoiey? bo się obawiam, „ ażebyś ucieczką pana twego nie zdradził. „ —— Nie, oycze móy! odpowiedział Rustan. Jam szedł zawsze za napomnieniem twoim. W pracy, którą mi naznaczono, byłem pilny: a co mi czasu nad to zbywało, pomagałem inszym niewolnikom słabszym i wolniey robiącym; chcąc ich przez to od kary uchronić, i nie dawać przyczyny do zagniewania pana. Nigdy tam nikogo nie oszukałem, i nikt mię o nic nie strofował. Uważał wszystkie kroki pan móy; i poznałem to, że miał przywią-

zanie

zanie do mnie. Kiedy przyszedł czas wykupu mego, a nikogo z pieniędzmi nie było widać; zawołał mię do siebie, i tyle mi tylko powiedział: „ Pieniędzy nie masz: czas wyszedł: „ znasz opis: już moim iesteś. „ Prawda; że w ten czas zapłakałem, wspomniawszy sobie, że iuż na wieki domu moiego nie zobaczę: bo nie wiedziałem, iak blisko mnie było szczęście moie. Pan móy pierwszy raz obaczywszy łzy moie; nie mògł się dłużey utrzymać z dobremi dla mnie myślami swoiemi, przycisnął mię do siebie, i sam ocierał łzy moie. „Ty, powiada, Rustanie! lepszego losu wart iesteś. Zal „ ci zapewne domu; i będziesz go widział! „ Przecięż cię inaczey od siebie wypuścić nie „ chcę; tylko ażebym wraz z oycem twoim „ równe mògł mieć do ciebie prawo. Mam córkę, ktòra będzie bogatą, z tobą, Rustanie, „ będzie i szczęśliwą Jedź do oyca: powieź „ mu odemnie dary; proś o błogosławieństwo. „ Niech się tu sprowadzi do mnie, albo ia poiadę ze wszystkim do was; mieszkać w tym „ domu szczęśliwym, gdzie razem i cnota mieszka. „

Almanzor, zaczął błogoſławić ſyna: i iuż to oſtatnie ſłowa iego były; bo wkrótce potym na ręku Ruſtana ſkonał.



RÓŻNE WIERSZE.

ZABAWA
NA USTRONIU
Myśl z Angielſkiego Aryſtypa.

Czyli pogodne ſłońce świecić będzie,
Czyli ſię niebo chmurami zakryie;
Rowniem ia kontent, w ſzybkim lat mych pędzie
Na łonie ſłodkiey ſpokoyności żyię.

Prawda, że człowiek podległy ieſt, żeby
Smiał ſię, lub płakał: bał ſię loſu ſwego,
Albo wyniośle żył; według potrzeby
Loſu, w światowy rząd wpływaiącego.

Jak Kameleon, co łatwo przyimuie
Zbliżonych rzéczy kolorów odmiany;
Albo inſtrument ſwym brźmieniem to czuie,
Jakiem gra tonem drugi z nim związany.

Tak człowiek, czym ieſt otoczony w koło,
To ſię na iego miękkości piętnuie:
Z odmianą rzeczy, i on raz weſołą,
Drugi raz ſmutną poſtać okazuie.

Filozofia, ktòrą inſi może
Szczęśliwym nazwą głupſtwem, mnie prowadzi
Za rękę, krwawe ſłodząc mi bezdroże:
W śrzód ſamych cioſów weſolą wyśl radzi.

Ja w małych rzeczach, co mię w ſmutek wiodą,
Przez moią ſztukę ſłodyczy koſztuię.
Co inſzych więzi, to dla mnie ſwobodą;
Ja i w złym nawet dobre wynayduię.

Naprzykład w laſku w śrzod nocy głeboki,
W ten czas, gdy ſłowik żałoſną pieśń śpiewa
Swoich miłości, że ſame obłoki
Poruſza iego ſkarga uciąźliwa:

Na

Na wſzyſtkie iego iednakim odmiany.
Czyli ſię zdaie płakać przez głos cienki,
Czy łaiać grubiey; ukontentowany
Słucham wdzięcznego śpiewaka iutrzenki.

Tu echo z iego groty mchem utkanyi,
Po ſkałach bliſkich ciężki żal rozdaie:
On ſię tym bardziey ucilka ſtroſkany,
Gdy powtarzaią to, na co on łaie.

Z wierzchołka góry lecąca kaſkada,
Tłukąc ſię o głaz, nieſie ſzum daleki;
Z dębami, które po drodze napada,
Oblewaiąc ie, żegna ſię na wieki.

W dolinie, wraz ſię iey wody złączaią,
Po dnie krzemiennym płynąc lżeyſzym biegiem,
Tam, mrucząc ſmutno, niby powiadaią
Zabawny iakiś romans przed ſwym biegiem.

Ja w ten czas w ſłodkich myślach zatopiony,
Rozpamiętywam ſtarych wieków dziła;
I zapuſzczam ſię tak, w kray oddalony,
Którędy noga ludzka nie chodziła.

Uważam potym: iak cierpiała wiele
Ta młodzież, ktorey sławne przeciwności
Są popisane w Pamięci kościele,
Przez nieśmiertelnych Kapłanów wieczności.

Ta mię myśl w dzikie mieysca zapędziła,
Bez bidzenia się życia troskliwością:
Która, ieżli mię kiedy napadała,
Jam ią ugłaskał samą odludnością.

Zawsze posłuszny memu Destynowi,
Przeciwko niemu nie walczę, ale się
Natarczywemu podaiąc szturmowi,
Płynę za wodą: gdzie chce, niech mię niesie.

Ledwie nad brzegiem bystrego potoku
Młoda latorośl że się rozwinęła;
Przypadkiem burza, przy wielkim wód stoku,
Słabę iey gwaltem gałązkę odięła.

Ta w potok wpadłszy, czasem wierzchem płynie,
Posłuszna wodzie, która ią unosi;
A czasem w warcie pogrążona ginie,
I znowu niby na wierzch się wyprosi.

Tak

Tak miia miasta, góry, doły, knieie,
Gorące piaski, i ciemne dziczyzny;
Aż utraciwszy powrotu nadzieię;
Niezmierne morskie połkną ią głębiny.

Móy to iest obraz, na wszystkie obroty
Ostrego losu, wypogadzam czoło;
Bylem mey nigdy nie odstąpił cnoty,
Jak mogę, nie iak chcę, żyię wesoło.

Na swoich skrzydłach niesie mię czas prętki,
Jak ta gałązka, co po wodzie płynie,
W mieyscu wszelakim mòy się humor giętki
Uchyla, że go srogi pocisk minie.

Zartuię z tego, co tylko w szeleście
Swiata, przechodząc, słyszę o przykrości;
Aż poty, póki i ia też na reście
Nie pogrążę się w zakręcie wieczności.

Niech opętani przez interes ludzie
Biegną za szczęściem po tey ostrey drodze
Srzodkiem przypadkow,po naywiększym trudzie
Niech płaczą, że są oszukani srodze.

Jam dostał nici, przez którą wiedziony,
Ułożonych mi doydę pomyślności,
Nie będąc nigdy niczym omamiony
W tym z czarowanym kraiu szczęśliwości.

Przywiązywać się do iey wyszukania
Nie chcę, ani się o nią przypodchlibię;
A bez wielkiego żyiąc zabiegania,
Pewnym iest, że ią gdziekolwiek nadybię.

BRU-

BRUTUS
o Nieśmiertelności Duſzy.

BRutus w pośrzodku Rzymian, iak w śrzód braci żyie:
Głodnemu chleb ſwóy daie, nagiego okryie.
Sławy bliźnich nie ſzarpie, cudzego nie chciwy,
Nie rozpuſtnik, nie chytry, nie zdrayca, nie mściwy:
Przykładem ieſt w kościolach, i pomocą w radzie;
Przy dobru poſpolitym życie ſwoie kładzie.
To ſobie zawſze za wzòr życia miał prawdziwy:
Brutuſie! bądź poczciwym, a będziesz ſzczęśliwy.
Otòż Oyczyzna ginie; z tą wolnością ſtarą,
Z tą braterſką równością: ſtaie ſię ofiarą
Zuchwałości iednego! kościoły złupione,
Domy obywatelkie w popioł obrocone:
Wſzyſtkie kąty Rzymſkiego pańſtwa pełne woyny,
Gdzie krew leie domową Cezar nieſpokoyny.

Na taki to Rzym patrząc Brutus ſprawiedliwy,
Płacząc gorzko, pomyślił: także to złośliwy
Nad cnotą weźmie górę? i uydzie bezkarnie
Z łupem zdartym z poczciwych? i także to marnie
Wydziera matkom dzieci, i ołtarzom złoto!
A Bóg ſię i natura nie upomi o to? . . .
Bogowie! ieśli cnotą moią ſię zaſłonię,
A wyście ſprawiedliwi; ia Rzym ten obronię.
Tak myślił; i do boku broń ſwą przypaſuie.
Próżno wierna czeladka płacząc zatrzymuie:
Rzuca dom, zbiera woyſko na Cezaryany,
Pewien przy dobrey ſprawie i cnocie wygraney.
Brutuſie! cóż ia widzę? woyſka twe znieſione;
Nadzieie twe upadłe, pierſi krwią zbroczone!
Z których ſzlachetna duſza (o oyczyzny ſtrato)
Przez rany dobywa ſię. A Brutus mi na to:
„ *Fraſzka cnota, i próżne ma tylko nazwiſko.* „
O Brutuſie! i za cóż tak ią kładziesz niſko?
Którey tron nad poziemne rzeczy podnieść chciano,
Którey tryumf na ziemi być prześladowaną!
Brutuſie!.. ſynu Bogów! ſynu ukochany;
Obaczyſz, żeś w tey cnocie nie ieſt oſzukany.

Zna-

Znamienitego życia nie plam końcem takim:
Ty zawſze byłeś wielkim; bądź w śmierci iednakim.
Na polach Filippińſkich pod iednymże głazem
Sławy i twey nadziei z ciałem nie kładź razem.
Jeśli Bogowie rządzą; rząd ich ſprawiedliwy.
Toć, ieśli tu nad cnotą przemaga złośliwy,
Jeżeli zuchwałemu wiedzie ſię ſtatecznie;
Duſza twa nieśmiertelną być muſi koniecznie.
Bo gdyby umierała; Ah! źleby rządzili,
Zeby zbrodniom niewinność gnębić pozwolili:
A złoczyńcom, w nadgrodę złości ich, ſłużyło
Szczęście, i to ſię wſzyſtko wraz z śmiercią kończyło.
Dziś ieſzcze twą nadgrodę odbierzesz. W tym z ciała
Czyſta duſza Brutuſa ku niebo wzleciała.

DO PRZYIACIELA.

TY ieden umiesz łzy z oczu ocierać,
Ty ſtrapionemu ſercu fulgę czynić;
Od ciebie można zarówno odbierać,
Czyli chcesz chwalić, czyli za co winić.
Na twoim łonie zaſnąć mi naymilij;
I twoia rada naylepiey poſili.

Na równe części los mòy z tobą dzielę,
Ty ieden wchodzisz w ſkrytość mego ducha,
Razem ſię z tobą ſmucę, czy weſelę;
Ciebie uparta nawet ſkłonność ſłucha.
Twòy rozum moię popędliwość trzyma.
Takimbyś miał być, ale cię nikt ni ma.

SZCZĘŚCIE,
CZYLI
OPISANIE RAIU.

KTóż to ieſt nad tym brzegiem czyſtego potoku?
Szyſzak z głowy zdeymuie, i broń ſwą od boku
Odpaſuie. Uczciwa na głowie ſiwizna;
I tyle bliźn! może to iego ieſt oyczyzna,
Z którą on przy wodzu ſwoim zawſze wierny
Od młodości boiował; i kray ten niezmierny
W nadgrodę trudów ſwoich poſiada ſpokoynie.
Zdaie ſię: że o dalſzey iuż nie myśli woynie:
W twarzy iego ſpokoyność; którą człowiek miewa,
Co ſię zniſkąd przykrości żadney nieſpodziewa.
Częſto broń ſwą ogląda, co w potrzebach wielu
Chwalebnie ie doświadczał na nieprzyiacielu.
Z pociechą razy po niey rachuiąc wſpomina;
Co poniosł, co go która koſztuie godzina.

Znać;

Znać: że w iakimſiś długim być muſiał nie-
wczaſie.
Z bladey twarzy rumieniec ſłaby dobywa ſię,
I chociaż mu ſiwizna głowę obſypała,
Młodość z ciała całego uſtąpić nie chciała.
W kray ten piękny nie dawno ma być ſprowa-
dzony;
Bo ſłucha, bo na wſzyſtko patrzy zadziwiony.
Lecz któżby ſię nie dziwił? W tym to mieyſcu
cała
Natura z ſwoiemi ſię ſkarbami wylała.
Czyſta rzeka, przez środek niezmierney pła-
ſzczyzny,
Z wolna płynie. Tyſiącem kwiatow brzeg iey
żyzny
W wodzie ſię odbiiaiąc, ogròd nowy grodzi;
W ktòrym beſpieczna ryba śmiało ſię przecho-
dzi,
I w zbytku ſwych roſkoſzy w górę podſkakuie;
A tak, piękny ſwóy ogròd nierozmyślna pſuie.
Indziey, gaik zielony nad ſamym wod ſtokiem:
Tam ſię ptactwa drobnego naleciało tłokiem.
Słowik naypierwſzy dawną ſwoię pieśń zaczyna.
Nuż potym, kiedy cała ozwie ſię drużyna;
Tyſiące

Tyſiące pięknych głoſow ieden głos ſkładaią,
Ktorym ſwoich miłości pochwały śpiewaią.
Zadnego tu zapewne drapieżnego ptaka
Nie masz, kiedy drobiazgu tego liczba taka;
I żaden tu źwierz dziki na nie ſię nie ſkrada,
Ani nielitościwy ptaſznik ſieć zakłada.
Owca chodzi ſamopas, nic ią nie zatrzyma:
Znać tu ani paſterzow, ani wilkow nima.
Ale zkąd ſię ta wonność niezwyczayna wzięła?
I całe to weſołe powietrze obięła?
Małe w pięknych rowninach laſy ſię zielenią:
Tam ſię żywym balſamem tłuſte drzewa pienią,
Tam gałęzie owocow rożnych pełne wiſzą,
Tam lekkim tknięte wiatrem kwiaty ſię kołyſzą.
Wſzyſtkie razem, cudowną tę wonność ſkła-
daią:
Może tu przy tey woni i o ſmak nie dbaią.
Otóż z inſzego mieyſca znowu iakieś głoſy
Weſoło śpiewaiących! chwalą ſwoie cioſy,
Przypadkom ſwym dziękuią, że z ich ręki maią
To ſzczęście, co bez trwogi nim ſię naſycaią.
Zkąd inąd ieſzcze ſłychać inſtrumentów brżmie-
nie:
Sworność ich nad ſame ieſt większa zadziwienie!
I w tey

I w tey zgodzie pieſzczoney gwałtem ciągną duſzę,
Ze ledwie nadewſzyſtko nie do nich gnąć muſzę.
Ale co dziwnieyſzego! tu nie widać ſłońca,
Swiatłość ſię tylko iakaś od końca do końca
Przeciągnęła, we wſzyſtkie śmiało patrzy ſtrony.
Nigdzie wźrok nie ieſt oſtrym promieniem zrażony.
Toć iuż tu naprzykrzonych upałow nie będzie!
Już paſterz udychany w chłodzie nie zaſiędzie
Przed ſpieką; nie będzie tu nigdy nocy ciemney,
Ani zwyczayney ziemi pory nieprzyiemney.
Zima ztąd w naſze kraie uciekła; i ſłoty
Razem z rolą nas moczą. Tu to ow wiek złoty!
Tu czyſtego powietrza chmura nie zaſłoni,
Ni ſię trwożąca ludzi błyſkawica goni;
Ani piorun lękliwą ptaſzynę nie płoſzy,
Ani grad piękne kwiatow ogrody puſtoſzy.
Nie bywa tu poſuchy, nie bywa powodzi.
Ziemia ſię ſwą tłuſtością bez ſłońca obchodzi,
Jak tylko na ſwe pory rok tu ſię nie dzieli,
Toć iuż wiecznie niewinna liſia ſię bieli,

Wie-

Wiecznie róża czerwieni, z kwiatem frukt doyźrzały,
Na iedney ſię gałęzi razem pomieſzały.
Nie masz uſchłego drzewa, ni znaku boleści:
Ze wſzyſtkim tu łaſkawſza natura ſię pieści.
Zadna drogi w te laſy nie znała ſiekiera:
I zdaie ſię, iakoby nic tu nie umiera.
Któż to ieſt nad tym brzegiem? w iakimże to kraiu?
Nie podobna: to święty, a ia ieſtem w raiu.

O NIESZCZĘŚCIACH
Oyczyzny i Rzezi Humańskiey.

PIeszczone dzieci, gdy rozgniewały
Oyca, i gdzież się podzieią,
Stoiąc pod drżwiami płaczą dzień cały:
Kołatać we drżwi nie śmieią!

A lud zuchwały, przechodząc blisko,
Słowem zelżywym ie szpeci!
Czyniąc z nich sobie urągowisko,
Ze ociec wygnał swe dzieci.

Ale ty, Boże! który z daleka
Patrzysz na serca wygnanych;
Ulitowany nędzą człowieka,
Pocieszysz znowu strosk anych.

Już do twych uszu przyiść miały głosy
Krwi, co lud przelał zażarty;
I wiara twoia poniosła ciosy,
I kościoł z ozdob odarty.

Wspomniy przynaymniey na twe ołtarze,
Przy których my stać przyrzekli.
Nie karz! wszak zdawna nikt tych nie karze,
Co do ołtarza uciekli.

Złoż nas twą bronią, którey zamachem
Rozsądzasz między woyskami:
A nieprzyiaciel pierzchnie ze strachem,
Widząc; żeś ieszcze ty z nami.

MRO-

MROWKA.

PO co iedziesz, Xymenie, w oddalone kraie
Szukać umieiętności?... Naturać się staie
Na każdym mieyscu szkołą, to drzewo, ta woda,
Ta łąka pełna kwiatow, to ptactwo, ta trzoda,
Byleś tylko chciał myśleć, na całe cię życie
Zatrudni pożytecznie. Naturo! ty skrycie
Wszystko robisz przed nami; żeby obdarzony
Człowiek myślą, w badaniu dróg twych zatopiony,
Tęsknotę tego życia rozrywał. Xymenie!
Podź ze mną na to pole, tam z gór rzeka żenie;
Tam się wesołe trzody paszą, pasterz śpiwa,
I deszczem opatrzona mgli się góra siwa.
Siądźmy na tey murawie... Otóż mrowek stado!
Jak liczną za żywnością wychodzą gromadą!
Jak z pilnością szukaią! potrzeba mistrzyni,
I sprawność im i przemysł w ich staraniach czyni.
Ale patrzno: z daleka idzie coś obcego,
Ciągnąc za sobą muchy pul tusza przedniego.
Od tuteyszych odmienna barwą swoią szarą,
I mniey-

ſmnieyſza! Pódźmyż za nią okiem... Z iakąż wiarą
Prawa tu goscinnosci w tym kraiu chowaią!
Tyſiąc ich w koło biega; a nic nie tykaią
Goscia przechodzącego: ani ſię kto ſpyta,
Przeſzła kray cały mrowek czerwonych bez myta.
Nie ſpuſzczaymy iey z oczu... Jakże biedna krwawo
Pracuie, iuż podobno tu między tą trawą
Jey ſię zdobycz zoſtanię, iuż ſpada na ſile,
Tyle drogi przebywſzy, i niewygod tyle!
Między dwoma trawkami zdobycz iey ſplątana,
Pròżno ciągnąc ſwoy ciężar, prawie na kolana
Upada; pròżno częſto ſpoczywa, i ſiły
I ſpoſobow probuie, bo ią opuściły.
Otóż upracowana, odpocząwſzy mało,
W tyl zachodzi; i ſpodem tę machinę całą
Podſunąwſzy ſię dźwignie, tak w wierzchołkach trawa
Uchyla ſię, i ciężar za przeprawą ſtawa.
Ziemia dopiero deſzczem rzęſiſtym ſię zlała,
I ieſzcze ſię mieyſcami woda nie ſchowała.
O iak przez wiele biedna rzek ſię przeprawiła;
A wſzędzie przemyſł więcey ważył, niźli ſiła.

Już

Już teraz pewnie zginie, albo łup swoy zgubi.
Kray tu czarnych olbrzymów, i ci zboyce grubi
Otoczyli ią wkoło: zdobycz odebrali;
Przecież część tylko wziąwszy, resztę iey oddali.
Aleź potym wzdłuż idąc tey krainy całey,
Już iey się rozboynicze roty umykały.
Może i pismo iakie przeprawy iey dano,
Ze ią z taką bacznością wszędy przepuszczano.
Otóż tu szare mrowki, pewna iey dziedzina!
Te, co biegną naypierwey, może to rodzina
Z drogi swoią siostrzyczkę przodem wyszła witać,
I o iey powodzeniach naypierwey się spytać.
Gdybyś im, mrowko! o twych przygodach wspomniała,
Całaby szara twoia rodzina płakała,
Ale czas był radości. Sypią się tłumami,
I tak ią wprowadzaią w bramy tryumfami.
Xymenie! wszakżeśmy to mieysce naznaczyli,
Gdzieśmy ią naypierwszy raz idącą zoczyli.
Ktoby się był spodziewał? na kroków trzydzieści
Po przykrey drodze uszła; a to, co bez wieści
Naszey pierwey uyść mogła! patrz na rzecz dziwnieyszą:

Ktoby

Ktoby z nas drogę dla niey wynalazł prościey-
ſzą?
Kto prowadził tak równo, że nic nie zbłądziła?
Od kogo ſię czterech plag świata nauczyła?
Jeźli ma pamięć! pamieć ieſt nad zadziwienie,
Zeby tak ſzczupłe w ſobie i błache ſtworzenie
Dar ten nieba mieć mogło, ale cóż koſztuie
Boga, czy ią aniołom, czy mrówkom daruie?
A ieźli węch, albo wzrok maią tey oſtrości,
Znowu cud, że ie w takiey zamknięto ſzczu-
płości.
O iakże ta rzecz mała wiele nam probuie!
Bóg ſię większym w naymnieyſzey rzeczy poka-
zuie.
Ale otworzmy nożem gmachy ich podziemne,
Tam ich rady, tam ich rząd, tam ich miaſto
ciemne
Obaczemy... Oto iuż weyście ſię ſkończyło;
I iakiś rynek: tyſiąc drzwi go otoczyło!
Z których ſię obywatel w śrzód miaſta groma-
dzi,
I około doſtaney świeżo paſtwy radzi.
Już ią na kilkanaście części podzielili:
Jedni wzięli, a drudzy ieſzcze ſię przykrzyli

 O ſwóy

O ſwóy udział. W tym blaſkiem noża przeſtra-
ſzone,
Odbiegłſzy pay, każda w ſwą ſchroniła ſię ſtronę
Daruycie nam niewinni mięſzkańce tey ziemi!
Nas tu wniosła ciekawość; ani za waſzemi
Dobytkami idziemy, nie nieſiem wam woyny:
Ani dla tego chcemy trząść dom waſz ſpokoyny,
Zeby wam wolność, albo miły płod odbierać;
Od tego noża żadna nie będzie umierać,
I żadna ſię krwi kropla waſzey nie przeleie.
Nas tu wniosła ciekawość, pewnie to nadzieie
Nieurodzaiow w czaſie, i ciężka potrzeba
Ten publiczny magazyn założyła chleba.
W śrzód ziemy obywatel, gdy zbierać nie może,
Ztąd pomiernym podziałem wydaią mu zboże.
I tak, o iednym chlebie letniey czeka pory,
W którey pełne mięſiwa różnego komory
Zboże mu ochraniaią, tu całe much tuſze,
Tu iakieś nogi, a tu robaczki bez duſze,
Leżą w iatkach pulicznych, złota tu nieznaią;
Zadne monety biegu ſwoiego nie maią.
Jednym daią za prace, a dugim na długi:
Naypięknieyſzy kawałek kupiſz za zaſługi.
Sprawiedliwość tę rządzi ſzczęśliwą krainę,
Komu

Komu się mniey dostało; zna, że to za winę.
Nie zazdrości sąsiadom: owszem kontent z tego,
Ze się pomiędzy sobą znaią, kto wart czego.
Nie przeto ciężkiey pracy zaniecha tam ktura:
Zdaie się, sama na ich zapędy natura
Wzdrygać; kiedy z naydalszych mieysc wleką ciężary
I większe, i ważnieysze od nich, że do wiary
Ledwie będzie podobna, aby w ich szczupłości
Tak siła przemysł służył kraiowey miłości.
Pòdźmyż teraz po domach. Jakie ochędostwo!
Jaka zgoda! a iakie familii mnostwo!
Sprzętow żadnych nie widać; dom się ich nie dzieli:
Z krągła go, ale czysto w twardey ziemi rżnęli.
Wszystko tu ma znak iakiś niewinney prostoty,
Szczęśliwego ubóstwa, i ciężkiey roboty.
Prawo ma być surowe, aby nic dła siebie
W swym domu nie mieć; ale o publicznym chlebie
Zyć wszystkim, chcąc zapobiedz tym wyrokiem złotym
Przemożności mieszkańca, i niezgodzie potym.
Ale cóż to za weyście większe od zwyczaynych?
Może tam będzie izba rad narodu taynych;

Może tam niedołęgów, chorych utrzymuią,
Ktôrych wdzięczna powſzechność żywi, choć
próżnuią.
Nie zgadliśmy, Xymenil! patrzno, iak tu wiele
Mrôwcząt młodych ſnuie ſię, ieſzcze im na ciele
Sukienkę znać niewinną; i wzroſt ich ſzczu-
pleyſzy,
I nogi ieſzcze ſłabe, i barwy iaśnieyſzyi.
Kilka ſtarych w pośrzodku iakeś im nauki
Zapewne dawać muſzą, uż oni tam ſztuki
Tańcować, śpiewać, albo nabycia czczey
chwały,
Nie uczą: ni iakiby płanety bieg miały;
Czy ſię ziemia obraca, czyli ſtoi ſłońce.
Inſze ich do tey ſzkoły ſprowadziły końce:
Być zdatnym w powſzechności, niewygod cier-
pliwym,
Nie chciwym dobra ſwego, w pracy nie leniwym.
Zyć pomiernie, i bronić kraiowey całości,
Prócz powſzechney, nie znaiąc inſzey ſzczęśli-
wości,
Ktôż wie? może to mrowki Likurgowi dały
Te prawa, które ſpartę tak długo trzymały:
Tam takze z publicznego ſtołu wſzyſcy żyli;
Tam

Tam krwią i życiem swoiey całości bronili.
Tam wzięta od rodzicow młodzież się ćwiczyła
W powszechney szkole, matką oyczyzna iey
była.
Nic dla siebie nie robiąc, zawsze pracowano:
Ani obywatela przemożnego znano.
Skarbow żadnych nikt nie miał; i za spadek
cały,
Cnotę po swych rodzicach dzieci posiadały.
Wspomniymyż sobie teraz Spartańczykow dziła,
Jak się przed ich nogami Persya schyliła.
Rowno z poziomym chwastem deptali korony,
Tylu tronow panowie, nie dbaiąc o trony.
Skutek to był szczęśliwey Sparty pomierności,
Pracowitego życia, i kraiu miłości.
Xymenie! coż masz dzisiay równego w Europie?
Kto tam, iak wodz Spartański, swoią ziemię
kopie?
I razem pysznych posłow Azyi przyimuie;
Pokoy czyni, albo im woynę obiecuie?
Bogaty zbytek nasze opanował kraie,
Ztąd się miękkość podniosła, odwaga ustaie.
Miłość dobra własnego wszędzie rzuca siatki:
Co zechce, niech się dzieie, byle mieć dostaki.

Na còż ſię po Europie trudzić nadaremno?
Lepiey uczmy ſię w domu, patrz na mrowki ze mną.

TRWO-

TRWOGA
Człowieka bliſkiego śmierci.

JUż ſię dach zepſuł, i przez mdłe ściany
Lada ſię wicher przekradnie.
Słuſznie goſpodarz chodzę ſtroſkany,
Widząc, że mi dom upadnie.

Jeſzcze na wſtręcie wiatrow upartych,
Jak na nieſzczęście ſtawiony,
Sto do upadku ma bram otwartych,
A żadney zniſkąd zaſłony.

Cóż to za ſzeleſt? kto mi ma ſzkodzić?
Trzęſienie z iakiey przyczyny?
Któż będzie gwałtem w drżwi moie wchodzić?
Idą poſłowie ruiny.

Ach widzę! iako już wſzyſtko ginie,
Co miałem, i co nie miałem.
Jedną przynaymniey ratuycie ſkrzynię,
W którey nadzieię ſchowałem!

POWIETRZE i WOYNA.

Czyiże to ten trup po polach leży?
I co za wrzawa po lesie?
Ztąd do mnie płacząc kobieta bieży,
Ztąd iakieś ięki wiatr niesie.

Gdzież to ia iestem? o kraiu smutny?
Siedlisko ludu nędznego!
Tu ma stolicę los ten okrutny,
Ktory dosięga każdego.

Coż to ci, matko? ta od żałości
Słowa przemowić nie zdoła;
Rwie włosy, tłucze wnętrzności,
I ledwie z czasem zawoła:

Ach nieprzyiaciel pobił mi dziatki!
Trzech synow zboyce pożarli.
Teraz pociechy moiey ostaki,
Czwarte mi z ręku wydarli.

Nieszczęsna córko! zginęłaś pewnie,
Z tego mi łona ią wzięli.
Ja na to tylko płaczę tak rzewnie,
Że matki zabić nie chcieli.

Spoyrzę na pole trupem usłane:
Tym ieszcze rany nieskrzepły.
Tu leżą w sztuki ciała zrąbane,
Tu płynie potok krwi ciepły.

Wszystkich do naga prawie wyzuie
Okrutna chciwość zdobyczy;
Ptak się na pastwę dziki zlatuie,
I same rany kaliczy.

W przyległym lesie słyszę ięczenie,
Które mi duszę przeymuie.
I tam mnie moia ciekawość żenie,
Gdzie serce ieszcze coś czuie.

Ledwiem się trochę przymknął do lasu,
Wołaią na mnie: tyż z nami?
Podź okrutnego dokonać czasu;
Zapowietrzeni tu sami.

Boże! te gniewu twoiego ſtrzały,
  Są nayoſtrzeyſze na ludzi:
Kray ſię w puſtynie zamienił cały.
  Ten cię płacz reſzty niech wzbudzi.

A ieśli nigdy nikt nie odwròci
  W karze niechybney twey miary;
Weź mię z inſzemi: to gniew twoy ſkróci,
  Należę do tey ofiary!

PRZECIWKO DEISTOM.

Niech ſię, iako chce, ſwym pozorem zdobi
Czarne Deiſtwo, wſzędzie go poznaią:
A Bóg iak żyie, i żyiąc coś robi,
Tak końca iego działania nie maią.

Na górach ſiano, i zwierzętom zioła
On wyprowadza; on rzeczami rządzi.
Bez niego nawet ruſzyć ſię nie zdoła,
I wśrzód pewności ſam człowiek pobłądzi.

Nie mógł zoſtawić naturze tey ſiły,
Zeby iuż wſparcia żadnego nie chciała:
Boby rzec można, że te czaſy były,
W których o pomoc naywyżſzą nie dbała.

Król poddanemu tyle dać nie może,
Aby iuż nie dbał o łaſkawość pana;
A tybyś tyle naturze dał, Boże,
Zeby nie znała tego, że poddana?

Bez woli iego na ziemię nie padnie
Mizerny wróbel: i na głowach włosy
On porachował; on ieden tak snadnie
Wyrabia w swoich formach polne kłosy.

Nie masz takiego państwa w całey ziemi,
Ktòreby dobry rząd utrzymać chciało;
Przecież gardziło sobą rządzącemi,
I na iedynym losie polegało.

A Bóg by wszystko powierzył losowi,
Losowi, który tak łatwo pobłądzi.
Poszłoby zatym, żeby był (któż powi?)
Taki rząd w świecie, iaki los, co rządzi.

Nie płynie morzem okręt bez żeglarza,
I bez rolnika rola nie zrodziła;
Dom pustoszeie, gdy bez gospodarza,
A światby losu fałszywość rządziła?

Taiemną ścieszką w pośrzodku nas chodzi,
I rozporządza wszystkie ludziom lata.
Tych głębiey martwi, owym przykrość słodzi:
Karze i głaszcze Bòg gospodarz świata.

Co

Co ſię w ciemnościach niedoſzłey iaſkini
Czołga, i błąka; co wśrzod ziemi porze,
I co w powietrzney zamknęło ſię ſkrzyni,
I co w bezdennym łonie żywi morze.

Wſzyſtko to ręka nie widoma wodzi:
Na wſzyſtko patrzy nie zmrużone oko.
A gdy w przepaściach Oceanu brodzi;
Wraz na powietrzu znaydziesz go wyſoko.

A leśli tak ieſt w porządku natury,
Że ſami ſobą władnąć nie możemy;
W nadprzyrodzonym porządku, a ktury
Poymie to rozum, że ſami chodziemy?

Kto może właſną ſiła doyść do ſłońca?
Kto z płanetami na ich kręgu ſiędzie:
Kto firmamentu, od końca do końca,
Nie przemierzoną rozległość przebędzie?

Nie może ſłaba potrafić w to ſiła.
Nawet mówiemy, że ieſt nie podobna,
Ażeby kiedy ſama ſię wzmocniła;
Tak w porownaniu ciał niebieſkich drobna.

A iakże człowiek przyrodzoną ſiłą
Nad ſwoię niſkość tak ſię podnieść zdoła;
Zeby tam ſtanął, gdzie zgodą tak miłą
Wieczny rzemieślnik nakręca te koła?

Jak przeſtronności firmamentu panem
I niebios będzie? iak ſobie poradzi;
Jeśli, nad iego zlitowana ſtanem,
Naywyżſza ſiła tam go nie wyſadzi?

Idź drogą twoią, iak idą mężowie,
Za blaſkiem iakim, co ci ſię płomieni;
Bez tego światła, co ſię łaſką zowie,
Nie wybłąkasz ſię z pośrzód ſwoich cieni.

Bo nie tak ważna zaſługa, choć iaka,
By nieſkończonych nadgrod wartą była;
Sama to tylko łaſka będzie taka,
Co z nią złączona, tak ią podrożyła.

Wſzyſtkie twe kroki, gdzie idzie o cnotę,
Wſzyſtkie dla nieba czynione ſkłonienia
Z Boga ſą, on ieſt, co czyni ochotę,
I co dopełnia roboty ſtworzenia.

Przez

Przez nieſkończone ſpoſoby cię wzywa,
Codziennie u drźwi ſerca twego czuie;
Mieſza ſię wſzędzie opatrzność troſkliwa.
A iakże powiesz, że twóy Bóg próżnuie?

NA

NA PIORUN *Blisko uderzaiący.*

Z Jakim się gwałtem ta chmura tłoczy!
Ogień ukryty nią warzy.
Piorun, co tylko że nie wyskoczy,
Częstym się grźmotem koiarzy.

Oto iuż wypadł, ach! gdzież zawita?
Widzę do mego sąsiada.
Wśrzod swoich modeł biedna kobita
Jego postrzałem upada.

Przed tym pociskiem chcąc się kto schronić,
Próżno drźwi, okna, zamyka.
Pewnie rozumie, że ciężko zgonić
Wielkiemu Bogu grzesznika?

Boże! który znasz mych złości miarę,
Nagrzeszyłem się nie mało:
Możę mię chowasz na większą karę.
Niechbym był zginął tą strzałą!

TĘSKNOŚĆ DO KRAIU.

Kiedy mną tęſkność nudziła,
Szedłem nad brzegi Dunaiu.
Odludność mię tam pędziła,
I chęć wzdychania do kraiu.

Cichości! ſioſtro tęſknoty,
Ja nie wiem, czym ty mię bawisz?
To wiem, że ſerce mi krwawisz:
Ja przecie lubię twe groty.

Łzy moie z iego wodami
Mieſzaiąc, w dalekie kraie
Wyſyłałem ie poſłami
Aż tam, gdzie mu bieg uſtaie.

Łzy moie! płyńcie, mowiłem:
Kiedy w Euxynie ſtaniecie,
Tam łzy mych braci znaydziecie,
I krew ich zmieſzaną z iłem.

O wy!

O wy! ſprawiedliwe świadki
Tey rany, co mię tak boli;
Powiedzcie, iak ieſt dzień rzadki,
Zebym nie płakał ich doli!

Wy, w ciſzy morza głębizny,
Poznacie tam, iak ieſt mało,
Którymby ſię płakać chciało,
Upadaiącey oyczyzny.

Na was napadłſzy płochliwa
Ryba, gdy ſię iuż złączycie;
Lub ſię w koło zatrzymywa,
Lub ſkoſztowawſzy, da życie.

I niewiadomi żeglarze,
Płynąc nad waſzym ſiedliſkiem
Nagłym iakimś łez wytryſkiem,
Zbogacą waſze ołtarze.

Ty, krôra na twoiey ſzali
Ważysz bezprawność kraiową,
Nie widzisz, żeśmy uſtali,
Pod twoią ręką ſurową!

Narod moy postać swą traci,
Miasta poszły na pustynie.
Nie widzę w ich rozwalinie
Ledwie część iakąś mych braci.

Dusze Szlachetne! wy, kture
Daiąc oyczyźnie krew swoią,
Jużeście przeszły tę chmurę,
Wśrzod ktòrey burzy ci stoią.

Jeśli tam macie łzy wolne,
Płaczcież, prosząc o ulżenie.
Tu, widzę, nasze westchnienie,
Ani łzy nasze niezdolne.

CZAS.

Raz zamyślony: iakie ſą obroty
Czaſu, i iak go dotąd przepędzalem?
Stanąłem nagle przed iakiemiś wroty,
Ktòre nieśmiałą ręką otwierałem.

Na pola potym niezmierzone okiem
Wyſzedłem, i w nich ścieſzki uzierałem;
Lecz między ziemią, a czyſtym obłokiem,
Nic, prócz ſamego błędu nie widziałem.

Tak chodząc długo bez śladu i drogi,
Na widowiſko ſtraſzne razem przydę.
Mąż duży wzroſtem, a ſpoyrzeniem ſrogi,
Goni człowieka, rzucaiąc nań dzidę.

Już wpół oſłabiał młodzian nieſzczęśliwy,
Przecież ucieka, co mu ſiły ſtaie;
I choć ſię z ſwoiey odſtrzela cięciwy,
Tylkó odbiera rany, nie oddaie.

Sporą

Sfora iuż kupę rowney z nim młodzieży
Sprzątnąwszy pierwey, i na tego godzi,
Nie syty łupem, co mu u nóg leży,
Tym okrutnieyszy, iż cięzey zaszkodzi.

Gdy z tego mieysca przestraszony zbiegam,
Chcąc się uchronić od niebespieczeństwa;
Aliści inszy plac śmierci postrzegam,
Gdzie nowe ślady widzę okrucieństwa.

Całe usłane trupem pole było,
Tak, że się iednym gmachem być zdawało;
I gdzie naywięcey ciał zbotwiałych gniło,
Tam kilkadziesiąt olbrzymow leżało.

Przystąpię do nich: ci iakoby z matki
Jedney zrodzeni, podobieństwa takie.
Przy wszystkich bronie, ich dzielności świadki,
Twarz, stan, i wzrosty u wszystkich iednakie.

To tylko iedną różnicę czyniło,
Ze nie wraz wszyscy mieli być pobici:
Bo iednym twarze dobrze poznać było,
Drudzy dawności popiołem zakryci.

Smutną

Smutną w mieyſcu twarz ziemia noſiła,
Trawy z korzenia ſwego wyniſżczone;
Powietrze całe mgła grúba zakryła,
I ſłońce nigdy nie patrzy w tę ſtronę.

Zewſząd okropność napełniała oczy,
A zimna boiaźń iuż w ſercu ſtanęła.
Nie dbam, choć noga ſame trupy tłoczy,
Byle z poſtrachu nayprędzey umknęła.

Gòra ſię iakaś z wolna zaczynała,
Długa ſpadziſtość wſtęp na nią czyniła;
Pod tę mię moia trwoga zapędzała,
I na niey ſzukać ſchronienia radziła.

Mgły iey przeſzedłſzy i wielkie przeſzkody,
Stanę, gdzie ſama pogoda mieſzkała:
Tu ſię z dniem wiecznym mile bawią chłody,
I wonne kwiaty roſkosz rozſypała.

Gòra ſię przecie ieſzcze wyżey wſpięła,
Ale iuż wierzchu doyrzeć można było.
Gdym podnioſł oczy, trwoga mię obięła,
I coś mię ſkrycie wewnątrz pokorzyło.

W tym

W tym uyrzę ſtarca na ſkalnym wierzchołku,
Siwą mu brodę wiatr wolny ròzwiwał:
Ogromny kamień trzymał na podołku,
I złotem tkaną ſzatą połyſkiwał.

W czole weſołość, a oczu ruſzenia
Z błyſkawicą ſię ſzybką porównały:
Twarz ſwoie wdzięki z młodym wiekiem mienia,
Chociaż włos głowę przyozdobił biały.

Bliſko nóg iego, z śrzodka żywey ſkały,
Rzeka ſię wielka nagle dobywała:
Powietrze całe ſzumy napełniały,
Gdy ſię z wynioſłych gór na dół ſpuſzczała.

Nie śmieią natrzeć boiaźliwe nogi,
Przez wzgląd taiemny ku ſtarcowi temu;
Ani ſię zdało deptać święte progi
Zuchwałym wſtępem człeku śmiertelnemu.

Ale ſię na bok pomału uchylę;
I idąc myślę coby to znaczyło?
Zapomnionemu przez iakowąś chwilę
Znowu ſię nowe widzenie zdarzyło.

Rzeka

Rzeka ta, ktòra z gó[illegible] w ſzumie ſpadała,
Cudney piękności pannę z ſobą nioſła;
Płaczącym głoſem na coś narzekała.
W łodzi płynęła, lecz w łodzi bez wioſła.

Rzuca nią zakręt: bronić ſię czym ni ma.
Próżno ſtroſkana ręce załamuie,
Próżno na brzegi pogląda oczyma,
I łaie wodzie, z którą ſię paſſuie.

Tknęła mię litość nad niedolą cudzą,
Niebeſpieczeńſtwa ſwego zapominam.
Darmo mi przeyście byſtre wały trudzą;
Wſkoczywſzy w wodę, do łodzi ſię wſpinam.

Że bliſko brzegu na ten czas płynęła,
Sądziłem, że ią poratować mogę:
Dopadłem łodzi, lecz mię woda wzięła,
I w tęż kazała razem płynąć drogę.

Spłakana pani rękę mi podała,
Ratowaniem mię zmordowana znacznie;
I gdy mię do ſwey łodzi przeſadzała,
Głęboko weſtchnie, i tak mòwić zacznie:

[illegible]y fię: zginąć nie [illegible]żesz w tey toni.
[illegible]tylko iednę ta nawałność goni;
Ażebym ledwie, co życie zaczęła,
Zaraz tonęła.

Ròd mòy fzlachetny, z którego pochodzę,
Od pierwfzey świata kolebki wywodzę.
Los mòy niefzczęfny, i ta pora była,
Gdym fię rodziła.

Ten, coś go widział fiedzącego w górze,
On żadney iefzcze nie przepuścił còrze.
Wfzyftkie w tęż drogę, co i mnie, wyprawia:
Zycia nas zbawia!

Ociec mòy Czas ieft, ktôl ten wielki, który
Po świecie całym pogląda z tey góry.
Jego ftolicą ftawna ta kraina;
A iam Godzina.

On na mnie patrzy, iak tą rzeką płynę:
W momencie fioftrę rodzi, gdy ia ginę.
Jedna po drugiey na śmierć naftępuie;
A on wiekuie.

Tę, pod tą górą coś widział, gonirwę,
Widziałeś mdłego Roku z Wiekiem bitwę
Próżno ſię broni młodzian nieſzczęśliwy,
Zginie iak żywy.

A trupy, które pole tam uſtały.
Wſzyſtko to lata, co poprzemiiały.
Olbrzymi wſzyſcy, rowni iak pod miarę,
Są wieki ſtare.

Ten kamień, który wielki ociec trzyma;
Na tego, co ſię bił, czeka olbrzyma.
Gdy pora iego do miary do płynie,
Spuści i zginie.

Pociſk on nigdy ma nieuchybiony,
Siąga przez długie olbrzyma zagony.
Podobną śmiercią wſzyſcy pogubieni
Jego rodzeni.

Takie ſą oyca naſzego zabawy;
Rodzić, i czynić zaboy dzieci krwawy.
Ale, oprócz tego, bawi ſię innemi
Dziełami ſwemi.

On

On po niezmiernych [illegible]iego mieſzkania
[illegible]achach przechodząc, co dzień ſię nakłania
W ſtarość oſtatnią, i c[illegible] dzień młodnieie;
trwa, i niſzczeie.

On w rzeczach przeſzłych ieſt nieodwołany,
W przytomnych bieg ſwoy czyni niezrownany;
A przyſzłych łańcuch powiązał daleki,
W potomne wieki.

Wiecznie wyſtarcza, choć ſię wiecznie trawi,
Mija w momencie, i naydłużey bawi;
Po ścieſzkach ſwoich niezgoniony chodzi,
Pomaga, ſzkodzi.

On na Fortunę wędzidło zakłada,
Aby, gdy ludziom hardo odpowieda,
Albo ſię całą ich żądzy wylała,
Czaſem przeſtała.

On królów ſzczęściem, i króleſtwy władnie;
Przyidzie, a każde wſtanie, lub upadnie.
W nim ludzie tyle miaſt powyſtawiali,
I on ie wali.

On ſię nad ziemią w[illegible]zą ſwoią wznoſi,
Obydwie nieba ſzanuią go oſi:
On rzeczy wſzyſtkich, niebawiąc cię długo,
Panem i ſługą.

Ale iak ludzie czaſu zażywaią!
Kiędy ieſt, oni w ten czas go nie maią:
Minął, nie wſpomną; a zawſze ſię chwieią
Marną nadzieią.

Na każdy moment mieć trzeba baczenie,
Każdy z nich ſwoie miewa przeznaczenie:
Jeden ſtracony rwie łańcuch całego
Szczęścia przyſzłego.

Z rzeczy tey, ktòra iuż przeminęła ſię,
Układay przyſzłą; rob opatrznie w czaſie.
I wiedz, że z czaſem każdego człowieka
Czas liczby czeka.

W tym mię pchnie z łodzi, gdzie naybyſtrzey
było;
Ale na brzegu złożyły mię wody.
Czym to ia widział; czy mi ſię to śniło?
Bo znalazłem ſię wśrzòd moiey zagrody.

Siw[illegible]ol z góry z my[illegible]li mi nie zginie,
I [illegible] nieſzczęſny córek [illegible]ego ſmutnych.
Nie będę tego powiada[illegible] Juſtynie;
Nie lubi ſtarych, a ieſzcze okrutnych.

LAMENT GOŁĘBICY.

DAwno na niego nieprzyiaciel godził!
Na dzikie pola częſto go uwodził;
Częſto go zagnał pod wyſokie chmury.
Zginął móy gołąb, gołąb żółtopiory!

Jam zaklinała: chroń ſię tey dębiny,
Gdzie pełno ſrogiey iaſtrzębiey rodziny.
A on podobno dla tego był śmiały,
Ze go ſię naſze ſamce obawiały.

Gdybym to kiedy była przewidziała....
Pewnie za niego umrzećbym wolała;
Niźli dziś płakać w opuſzczonym ſtanie,
Ale przychodzi zły los nieſpodzianie.

Teraz pozbieram pióra rozrzucone;
I na tym mieyſcu, gdzie ieſzcze zbroczone
Piaſki, i ziele w krwi ſię iego myie.
Z nich ſobie gniazdo, i grób móy uwiię.

Tak ſmutno ięcząc; może ptaſznik iaki
Weźmie mi życie temi idąc ſzlaki:
Albo też iaſtrząb mym głoſem ściągniony,
Dokona razem i męża i żony.

A ieśliby tak nie przyſzło mi ſkączyć,
Będę umiała żal z głodem połączyć;
Póki śmierć, iedno moie pocieſzenie,
Smutku i duſzy ze mnie nie wyżenie.

SADY (*) i FATYM

SAdy z Fatymem przed ſłońca upałem,
Do bliſkiego ſię laſu uchronili.
Tu, mówi Sady, kilka razy ſpałem,
Tu mi rozmyślać bywało naymilij.

Patrz, iak to czyſty śrzodkiem potok płynie!
Beſpieczna ryba igra wierzchem wody;
Naymnieyſzy kwiatek nad brzegiem nie zginie.
Widać w niey drzewa, paſterzów, i trzody.

Ach! cóż to będzie? o mòy ty Fatymie!
Karuna widzę w zaciſzy śpiącego.
Zadrżyi wraz ze mną na to ſtraſzne imie;
Nieprzyiaciel to narodu ludzkiego!

On w całym mieście przychylnego nima,
Nikomu chleba ſwoiego nie łamał.
Co krzywd poczynił przed memi oczyma:
Jak wiele razy zdradził, zabił, ſkłamał.

Boże!

(*) *Filozof Perſki.*

Boże! na tylu złości popełnienie,
Jak ſpokoynego ieſzcze ſnu ſtaie?
Mnieby ſię zdało, że ſłodkie uśnienie
Samym Bóg tylko ſprawiedliwym daie.

Oh! nie dla niego ten ſię las zieleni,
Nie ieſt go godnym tylu ludzi ſtratą;
Ni tey murawy, ni tey cichey cieni,
Ani ſnu tego, a Fatym mu na to:

„ Często pozwala Bóg ſnu złośliwym,
„ Aby czas folgi dał ſprawiedliwym. „

MATKA
Syna wyprawia do obozu.

JUż broń przededrźwi iaſną wynoſili;
Nad nią nie było lepſzey w okolicy.
Jey to, dziadowie twoi doświadczyli!
Broń, którą młody masz błyſnąć Maurycy.

On ogniem wieku zagrzany i ſławą,
Chciałby nayprędzey poyść pięknemi ślady,
Co ſtary ociec torował mu krwawo;
I dzielne domu pomnożyć przykłady.

Ale ſtrapiona matka go wſtrzymuie;
Czaſem ſię iego uraża uporem,
Czaſem pozwala, i tak ſię mocuie
Między miłością, i między honorem,

Nie śmie i ſpoyrzeć tam, gdzie iuż czeladka
Z domownikami ſwemi ſię żegnała;
I wytrzymawſzy mówić do oſtatka,
Na reſzcie ſyna tak napominała:

Kiedy

Kiedy inaczey być to iuż nie może,
Jak w ręce twoie oddaię go, Boże,
Jeżeliby ſię twey woli wſpak ſtawił,
Nie karz go zaraz; onby ſię poprawił.

A ty, móy ſynu, nadewſzyſtkie rzeczy
Na każdym mieyſcu miey Boga na pieczy.
Nie ſchronisz mu ſię, nie myśl o ſpoſobie:
Ja ci przyſięgam, że on ieſt przy tobie.

Ani za ſławą idź zapamiętale,
Zebyś na życie twoie niedbał cale;
Wſpomniy, iak gorżko o tom cię proſiła
Ja, co cię płaczę, i com cię rodziła.

Ty nie pamiętasz, boś ieſzcze był mały,
Co mię przypadki twoie koſztowały:
Na tom ia w ten czas tyle łez wylała,
Zebym pociechę z ciebie dziſiay miała.

Może dla ſławy ty zechcesz być wſzędzie,
Gdzie was naybardziey ogień niſzczyć będzie;
Tyleć to ludzi w iey zginęło ſiatce!
Uymiy coś ſławie, ażebyś dał matce.

Ale ia nie chcę, ażebyś wſtydliwą
Ucieczką mazał twarz oyca ſędziwą.
Ja tylko proſzę, ażebyś w potrzebie
Bacznie nacierał, i ochraniał ſiebie.

Tyś u mnie ieden, i tyś ieſzcze młody!
Nie czyń mi, ſynu, tey naywiękſzey ſzkody.
Powracay, i zdeym ten ciężar z mey duſzy;
Bo twoy mi powrot łzy z oczu oſuſzy.

NA DZIEŃ URODZIN
MARYANNY Z KALINOWSKICH
PONINSKIEY,
Woiewodzicowy Poznańſkiey.

Pod białym ciałem dziewczyny,
Cnota ſię dziś urodziła!
Otwarta, ſkromna, bez winy,
Jaka pierwſzych wiekow była.

Nieśmiertelność także miała
Razem ſię w tym dniu narodzić;
Ale, iak w raiu zoſtała,
Tak iey nie każą wychodzić.

Pani, bogdaybyś nieśmiertelną była!
Ziemiaby ſię pocieſzyła;
Ze gdy za złemi ściga ukaranie,
Cnota ſię zawſze zoſtanie.

Składaiąc te moie wierſze,
Na myśl mi też przychodziło:
U oyca to dziecię pierſze
Jak w domu witane było?

Przybył przyiaciel z daleka;
Matka się przed nim chwaliła:
Dał nam Bòg w świat człowieka.
Maryąm còrkę powiła!

Gościu móy miły siądź bliżey koło mnie,
Niech wszyscy przyidą do mnie.
Zeby tu radość i muzyka była:
Maryąm còrkę powiła!

Takie w tym domu wesele
Podczas narodzenia twego:
Jak go nam przybyło wiele!
W tym dniu obchodu rocznego?

Nadzieia iuż wzięła skutek,
Jużeś przykładnie cnotliwa.
W tobie pociechę ma smutek,
Z ciebie się nędza odziwa.

Przyiacielowiś, i radą i chwałą.
Słowem, iesteś cnotą całą;
Czegoż ci życzyć, gdyś iuż wszystko wzięła?
Idź drogą, którąś zaczęła.

NA

NA IMIENINY
Teyże.

GDyby śię iako dobrać do tey śkrzyni,
Gdzie dla człowieka deśtyny śchowane;
Niech mię, iak kto chce, z moich krokow wini.
Brałbym naypierwey zdrowiem cechowane.

Nabrałbym inszych, co długiemi laty,
I pomyślnością śtateczną znaczone;
Dopiero w takie wiązania bogaty
Dałbym ci z niemi lata nieśprzykrzone.

Ale na cóż mi czernić duszę śwoią
Tym świetokradztwem? kiedyś ty śwe cnoty
Wyśłała pierwey? pewnie iuż tam śtoią,
I odbieraią dla ciebie wiek złoty.

One przez ciemne tych wyrokow gmachy
Smiało idąc, noc tamtę oświecaią,
I niedośtępne dla inszych pośtrachy
Przy ich śię nogach łagodnie śkłaniaią.

Przed niemi ſama okropność zadrżała,
Im ſię żelazne wrota otworzyły;
Im dane klucze, im iedna moc cała,
Zeby cię w życiu ſzczęśliwą zrobiły.

Pani! gdy ieſzcze poydą ci poſłowie
Od ciebie; wſpomniy na moie ſtękanie.
Niechay tam iako wyrobią mi zdrowie,
Bo mnie na takie poſelſtwo nie ſtanie.



WEZYR GIAFAR
Do Haruna (a) *Al-Raszid.*

STrumień nayczystszy, co w Firuzbad (b)
płynie,
Który pasterza w upału godzinie
Siły otrzeźnia: róża rozkwitniona,
Jeszcze człowieczą ręką nie dotkniona:
Ju-

(a) *Harun Al-Raszid z domu Abassidów, wielki Kalifa Muzułmanów, około roku od narodzenia Chrystusa 800 panuiący, Giafara naysprawiedliwszego czasow swoich do rządu państwa, i na urząd pierwszego Wezyra podniost; i ieszcze tak się w nim rozkochał, że wszystkie zabawy bez Giafara przykrzyły mu się. Ale że razem Kalifa, i do siostry swoiey Abassy, która go rozumem bawić umiała, był przywiązany; nie chcąc rozrywek swoich na dwoie dzielić, Giafara tytularnym mężem Abassy robi, (co dało prawo Wezyrowi temu wchodzenia do pokoiow Abassy) ale z naysurowszym zakazem naruszenia czystości iey.*

(b) *Firuzbat, iest położenie mieysca naypiękniey szé na zachodnim końcu Persyi. Wschodnie narody nazywaią to mieysce raiem ziemskim.*

Jutrzenka, która biało świeci z rana;
Oto Abaſſy piękność opiſana!
Wielki Kalifo! który w całey ziemi
Sprawiedliwym ſię zwiesz (c) między wiernemi, (d)
Od rzeki Indu, (e) aż gdzie ziemia ſtała
Silnym ſię morzom zachodnim poddała;
W kraiach tych wſzyſtkich panowania twego,
Smutnego ciężko znaleść poddanego.
Jeden Giafar, ſtróż twoiey pieczęci,
Tłumacz twych myślj, wykonywacz chęci:
Jeden Giafar troſzcze ſię i nudzi,
W pośrzodku tylu nayſzczęśliwſzych ludzi.
Nie chcąc rozrywek twych dzielić na dwoie,
Otworzyłeś mi Abaſſy pokoie,
Zebym z nią razem tęſkność twoię bawił;
A czcześ mi męża nazwiſko zoſtawił.

Okru-

(c) *Słowo al-Raſzid z Arabſkiego znaczy, ſprawiedliwy. Przydano to do tytułow Kalify Haruna, dla iego wielkiey ſprawiedliwości.*

(d) *Słowo Muzułman, znaczy: wierny.*

(e) *Harun Kalifa, od rzeki Indus, aż do Oceanu atlantyckiego poſiadał krain na mil bliſko 1500. Szerokości zaś na mil bliſko 500.*

Okrutny to dar, dzika łaſka była,
Co mię w Abaſſy harem (f) wprowadziła.
Bo cóż mi potym nazywać ią żoną,
Gdy na nią tylko patrzyć pozwolno?
  Duże iey oczy, włoſy, i brew ciemna,
Czerſtwy rumieniec, i białość przyiemna,
Piękny ſkład twarzy coś wielkiego znaczył;
Takąm Abaſſę pierwſzy raz zobaczył.
Gdy potym z wſtydu nieco opłonęła,
Bardziey mię ieſzcze rozumem uięła.
Rozumem, którym ſłynie w powſzechności,
Jako ty ſłyniesz ze ſprawiedliwości.
Oſtatni to był moment mey ſwobody;
Bo potym miłość z rozpaczą w zawody,
Albo na życie ręce uzbraiała,
Albo ie iakąś nadzieią trzymała.
  Wielki proroku! co mię w tey godzinie
Słyſzysz; i święta którego krew płynie
W żyłach Abaſſy: (g) czemuś nie przeſzkodził,
Gdym

(f) *Harem, ieſt to ſkryte mieſzkanie kobiet Muzułmańſkich, gdzie pod gardłem nikomu z męſzczyzn wchodzić nie wolno*

(g) *Abbas (z którego domu był Harun) był ſtryiecznym Machometa fałſzywego proroka, ztykaią ſię*

Gdym miał pokochać? albo gdym ſię rodził?
Albo.,. Abaſſa na to ſię rodziła!...
Karz mię, Harunie, bo iuż mówię ſiła.
Ona w podroży zawſze za mną goni,
Przed nią ſię w laſach Gaifar nie ſchroni,
Płynie po rzece, ze mną na koń wſiada;
Ze mną ie, piie, ze mną cień iey gada.
Nawet kiedy to w moim ſmutku piſzę,
Zdaie ſię, że ią cieſzącą mię ſłyſzę.
W Mekki kościele (h) od początku ziemi,
Gdzie Bóg przebywa z ſynami ludzkiemi.
Dale-

te dwie linie pod Haſzem dziadem Mahometa i Abbaſſa. Dla tego Abaſſydowie nazywali ſię Haſzemitami, dom Abaſſydow panował w Azyi, pod imieniem Kalifow (czyli rządzcow duchownych, razem i świeckich Muzulmańſkich) przez lat 520. Ze wſzyſtkim wyniſzczony przez Holagu Hana Tatarow czyli Mologów roku 1258, kiedy i oſtatni domu tego Kalifa Moſtazem zginął.

(h) *Maią z tradycyi Mahometanie, że na tym mieyſcu, gdzie ieſt teraz kościoł w Mekce, Adam wyſtawił był przybytek, gdzie ſię modlił Bogu z potomſtwem ſwoim. Abraam po potopie, na tymże mieyſcu ofiarował Izaaka; zatrzymany w tey ofierze od anioła, wyſtawił tamże kościoł Bogu; który tenże ſam do tych czas (iak powiadaią) utrzymuie ſię. To pe-*

Daleki pielgrzym łzami próg (i) obmywa,
A mnie Abaſſa modlitwę przerywa.
Bòg na mòy ucisk ſpoyrzał niezmierzony;
I darował mi, bom myślał do żony.
Darował mi to, bom myślał nie chcący,
Między nim i nią dzialąc płacz gorący.
Woda ta, którą Agar (k) naſza piła,
Mówią, że tylu chorych uzdrowiła:
Prożne gadania... bo ią prożno piłem...
Znać, żem był nie wart łaſki... i bluźniłem.
O ty!

wna, że ten kościół zawſze będzie bardzo dawnym, gdyż pamiętnika w hiſtoryach nie masz o inſzych początkach iego, ma wzdłuż łokci 24, wſzerz 23, wzwyż łokci 27.

(i) *Próg w tym kościele ieſt bardzo podnieſiony. Pielgrzymi zwyczaynie przy tym progu modlą ſię: a Mahometanie, to między cudami tegoż kościoła rachnią; że każdy tam przychodzący płakać muſi.*

(k) *Agar z Izmaelem głową Izmaelitów, czyli Arabow będąc zoſtawiona od Abrahama na puſzczy, w pragnieniu przez anioła miała ſobie pokazaną wodę. Tradycye Muzułmańſkie twierdzą, że taż ſama ieſt ſtudnia przy Mekce, teraz nazwana Zemzem. Z tradycyi podanych przez Omara ieſt, iakoby często mawiał Mahomet: „kto z tey ſtudni piie, od chorob cia-*

O ty! co z twego ſpokoyny kochania,
Trzymasz ſię Boga i bez narzekania
Na los twoy żyiesz, nieznośnych nie maią
Nigdy przypadkow ci, co ſię kochaią.
Kalifo! ſkróć mi ten wiek moy nie miły;
Zabić ſię nie mam ni prawa, ni ſiły.
Twoie zakazy przezemnie zgwałcone:
Kocham Abaſſę tak, iak mąż ſwą żonę.
Miłość, kiedy ſię trafi nieſzczęśliwa,
Stanu ludzkiego poniżeniem bywa.
Jak wiele razy, na wzgardę natury,
Być przemienionym chciałem w ubior ktury,
Co ſię białego iey dotyka ciała,
I co naybliżſze koło ſiebie miała!
Albo przepaſkę, krórą iey ſtan dzieli,
A czaſem w płutno iakie iey pościeli;
W chuſtę tę, którą w łaźni ſię ocira.
Takeś twoiego upodlił Wezyra.
Sen, to pomocne zapomnienia ziele,
Ta iedna folga tych, co cierpią wiele,
On mię odſtąpił, ona go zabrała,

Jak-

„ *ła uzdrowionym będzie, kto zaś obficiey piie, i*
„ *grzechy mu ieſzcze będą odpuſzczone.* „

Jakby nie dosyć całego dnia miała.
Zawsze się do mnie wciśnie, i żartuie
Z ogromney warty, co przy mych drźwiach czuie.
Wczora iuż ranny szmer się po Bagdadzie (1)
Rozchodził, i czas był zasiadać w radzie:
Sen mię ogarnął. Abassę uyrzałem
W stanie, w iakim ią nigdy nie widziałem.
Jedną się ręką za włosy targała,
A w drugiey grubą koszulę trzymała;
Potym mi rzecze, pełna łez i łkania:
Oto są skutki twego przywiązania!
Harunie! ieźli sen swą prawdę miewa,
Abassa niech się ubostwa spodziewa;
Które odemnie zacząćby się miało,
A na nią prawem mych nieszczęść spadało.
Tak iest, Kalifo! odbierz pieczęć twoię,
I wielkie skarby, o które nie stoię.
Pozwól, niech potym przed Abassą klęczę:
Może ią nędzą moią nie odstręczę.

Mo-

(1) *Bagdad miasto w dawney Haldei, przez Kalifę, al-Manzora, z domu Abbassydow drugiego, przy rzece Tygrys założone, przez lat 500 było stolicą Kalifow.*

Może to na niey krwawe łzy wymogą,
Ze poydzie moiey złey fortuny drogą.
Jak słońce zaydzie, miesiąc się pokaże,
Wyidziemy z miasta... Oh! na cóż się ważę?
Nayszlachetnieyszą krew na całey ziemi...
Siostrę Kalify... po między cudzemi
Tułać narody... wnukę Muzułmańską
Dać może w pośmiech i wzgardę pogańską...
Nie chcę... niech raczey zginę! albo ieszcze
Jeśli się w twoich dawnych łaskach mieszczę;
Przez sławę twoią, która nie zaginie,
I przez grób święty proroka w Medynie (m)
Day mi Abassę! tak, iak daiesz ziemi
Słodką szczęśliwość rządami twoiemi.
Zeby nie mowił kiedyś kto złośliwy:
Ze był w twym pa stwie ieden nieszczęśliwy, (n)

(m) *Medynat, iest słowo Arabskie, i znaczy miasto, nazywało się przed tym Jatreb. Dopiero po ucieczce tam fałszywego proroka z Mekki, (co iest początkiem Hegiry, czyli liczby lat Mahometańskich) zaczęto go nazywać, Medinat al-Nabi, to iest miasto proroka.*

(n) *Giafar złamał zakaz Kalify; widywał się skrycie z Abassą, urodzone dziecię, potaiemnie wysłali do*

do Mekki: o czym w krótce dowiedział się Kalifa i Giafara zabić rozkazał. Głowę iego nad mostem Bagdzkim zawieszono; i surowy na całe miasto zakaz wyszedł, ażeby nikt o nim w posiedzeniach nawet wspominać nie ważył się. Dom nad to cały Giafara wygubił, ociec, i trzech braci iego mizernie w więzieniu poginęło. Tak nędznie upadł, zacny ten, bo z królów Perskich wyprowadzaiący się dom Barmecydow, który bogactwy wielkiemi, a naybardziey miłością u ludzi głośno słynął.

Abassę zaś z pałacow cesarskich wyrzucono: i do takiey potym nędzy przyszła: że chlebem żebranym żyła.

Kondemir powiada, że Harun Kalifa, z przywiązania zbytecznego, które miał do Giafara, do trzydziestu millionow drachm w srebrze na rok ieden dawał w prezentach Giafarowi, po zabiciu zaś Giafara, ledwie kilka talarow na potrzeby pogrzebu iego ze skarbu dano.

LIST
Wymawiaiący się.

NIe wiesz, iak tu biie w ściany
Z mroźnym wiatrem śnieg zmieſzany.
Ledwiem dziś pokazał głowę;
Zawiało mi iey połowę.

Zwierz w ſwoie zabiegł komyſze,
Mroz nagle pościnał wodę;
Z ptakow, procz kruka, nie ſłyſzę,
Który lubi niepogodę.

Jeſzczem na koniu drewnianym
Jeździł, gdy o zawołanym
Alekſiewiczu mowiono,
Ze go do piekła ciągniono.

Takaż zawierucha była?
Kruki powietrze zmieſzali,
Noc ſię w pośrzod dnia zrobiła.
Tak to nam kiedyś baiali.

Oh!

Oh! dziś ſię z mieyſca nie ruſzę.
Przyrzekam ci to na duſzę.
Przy ciepłym kominie ſiędę,
I Piotrem Wielkim nie będę.

NA OBRAZ
Tryumfu Smierci.

NIe przebłagana! co iak kwiaty z trawą
Wycinasz krôle razem z poddanemi.
Drży przelękniona pod twą ręką krwawą
Natura, prożno proſząc cię za ſwemi.

Króleſtwo twoie ieſt w głębokim grobie,
Który kray wiecznym dziedzictwem poſiadasz:
Jednym choroba daie znać o tobie,
Na drugich ſama z nienacka napadasz.

Tu Semiramis, Seſoſtr, Hektor, Greki,
Salomon, Cyrus, Alexander, ginie:
Pirrus, Annibal, Scypion, powieki
Zamknął; i Cezar dokonywa w gminie.

Nie naſycona tak wielkiemi plony,
Na ſłabe nawet porywasz ſię dzieci:
I biała piękność, i iey włos trefiony
Pod nieuchronnym twym pociſkiem leci.

Ale tak cię to tylko boiaźliwe
Maluią dusze, co nie są tak śmiałe
Przystąpić; żeby tę larwę fałszywę
Zdięli z cię, ktòrą straszysz wieki całe.

Tyś iest naylepszą mistrzynią mey wiary.
Ty kończysz życia ziemskiego przykrości;
Tym mi się staiesz pierwszym darem z kary,
Otwieraiąc mi wielkie drźwi Wieczności.

KATO

O NIEŚMIERTELNOŚCI DUSZY.

z Francuzkiego.

TAk, Platonie! prawda ieſt: nie umiera duſza.
Zyie Bòg, co w niey mowi, i który nią ruſza.
Bo zkądżeby bez tego były w nas przeczucia,
Nieſmak w dobrach znikomych, i boiaźń ze-
pſucia?
Czuię to, że mię wciągasz w nieſkończone lata;
Ze pokruſzę kaydany mych zmysłow, i świata.
Ze umrę, i zoſtawię na ziemi te kości,
Których barłog wrota mi zawalał wieczności.
Wieczności! słowo ſtraſzne, i pociecho iedna!
O światło! o ciemności, przepaści bezdenna!
Któżem ia? dokąd idę? gdziem ieſt? zkąd ſię
wziołem?
W tamtych kraiach nieznanych, iakowymże
czołem
W momencie śmierci moiey iſtność moia ſtanie?
Duch ten, co dziś o ſobie tak ciemne ma zdanie?
Ach! cóż w ſobie ta przepaść nieprzeyrzana
duſi?...
Jeśli Bóg ieſt, to Kato ſzczęśliwym być muſi.
Jeſt

Jeſt pewnie, ia ſię iego ręki dziełem czuię.
On na ſercu niewinnym obraz ſwoy piętnuie.
On ſię zemści ſwey ſprawy, i złośliwych zgnie-
cie.
Ale w iakimże czaſie? i na którym świecie?
Tu cnota przyciśniona pod złoczyńcą ſtęka,
Tu niewinność przed zbrodnią na kolana klęka;
Tu za wozem fortuny, co żywo ſię ciśnie,
Jakby świat dla Cezara zrobiony umyślnie,
Spieſzmy więc, by ſię z tego iak dobyć więzienia,
I patrzyć na cię prędzey, o prawdo bez cienia!
W czaſie ſnu ty przed nami kryiesz twe promienie.
Zycie naſze ieſt to ſen, a śmierć przebudzenie.

SMUTEK.

GDzie promień słońca nie dochodzi,
Gdzie był naygłębszy w śrzodku skały przedział:
Smutek, co twarzy swey nie wypogodzi,
Między tęsknością i rospaczą siedział.

Czasem rękoma oczy mu zakrywa
Rospacz, a czasem nadzieię odpycha;
Nadzieię, ktora wstępu tam nie miewa,
Gdzie z głębi serca blady smutek wzdycha.

W sporych naczyniach, napełnionych łzami,
Tęsknota gorżkie piołuny mieszała;
Takim napoiem, dużemi miarami,
Omdlewaiący Smutek napawała.

On, choć się wzbrania, chociaż usta kryie,
Próżno; na ciężką gorycz utyskiwał:
Częstym powrotem brudny napóy piie,
Który wnet z oczu czystą łzą wypływał.

Na

Na wierzchu ſkały kruki przeraźliwe
Powietrze wrzaſkiem zmieſzali do koła:
Zlewaią deſzcze, grźmi niebo gniewliwe,
Puhacz żałobny bez przeſtanku woła.

Bliſko przypadek nieſpokoyny ſiedzi.
Ten to przewodnik Smutku zawołany,
W oſtatnim kącie człowieka wyśledzi:
Zwyczaynie przyidzie, kiedy nieſpodziany.

W naypopędliwſzym bez rozmyſłu locie
Obiedwie ſobie powybiiał oczy;
Choć ſam ſię w ſwoiey natłucze ślepocie,
Przecież on wſzędzie omackiem doſkoczy.

On nie zna ludzi, a lubi ich męczyć,
Gdzie miłe dziecię, albo ſyn złośliwy;
Równie pod iego pociſkiem zaięczyć
Temu co dobry, i temu co krzywy

Powſtał przypadek; razem ſmutek wſtaie.
Zaſzumi wicher, ziemię wzruſzy drżenie:
Zywa ſię ſkłada z ciężkim hukiem kraie,
I przelęknione ięknęło ſtworzenie.

Na którą tylko obrocił się ftronę
Smutek, gdzie weftchnął, gdzie fpoczął zemdlony;
Gorącym iego oddechem fporzone
Pomdlały trawy, ufechł lift zielony.

Pierzcha źwierz dziki, a gad iadowity,
Gdzie miał przechodzić, kupami się fnuie;
Gryząc się wzaiem, prześladek ubity
Swą przeraźliwą pofoką farbuie.

Xiążęta ziemi! fchylcie się w pokorze.
Nie obronią was twierdze niedobyte;
Ani ogromna ftraż przy wafzym dworze,
Ani imiona w kraiu znakomite.

Widziałem, kiedy matka was rodziła,
I iak was czafem przypadek unudzi.
Mara iakowaś tak wfzyftko fkłociła,
Że i wy także podobni do ludzi.

DO
FAUSTYNY.
na Nieſtateczność.

FAuſtyno! nie mów iuż więcey o ſobie,
Ześ ieſt ſtateczna, twoie przyrzeczenia,
Które ſię w ſamym miały kończyć grobie,
Jedno powianie fortuny odmienia.

Ani twóy rozum, ni wielkie przymioty
Nie odmieniły nałogu twoiego.
Chociażby inſzy zbierał ci kłos złoty,
Ty przecie zawſze woliſz co nowego.

Pamiętasz, kiedym całuiąc twą rękę,
Odbierał wzaiem czułe uściśnienia:
Dziś bez zmieſzania patrzysz na mą mękę;
I śmiechem zbywasz moie umartwienia.

Kiedy w las poydę, bym tam zamyśłony,
Tucząc myśl gorżką, mym ogniem ſię trawił;
Gdy ſię do ciebie powracam ztęſkniony:
Ty mię tym witasz, żem ſię krotko bawił.

Moie dziś wierſze ſłabe ci ſię zdaią,
Moie przyſługi przewrotnie nicuiesz;
Dyſkurſa moie choć wſzyſcy uznaią
Za ſprawiedliwe, ty ie prześladuiesz.

Cóż ſię to ſtało? iam ſię nie odmienił!
Jeſzcze ſię wzmaga we mnie ta chęć wieczna,
Zebym ſię więcey w oczach twoich cenił.
Wiesz co, Fauſtyno? tyś ieſt nieſtateczna.



PRZY-

PRZYKŁAD
RELIGII.

PRZYKŁAD RELIGII.

Słońce się miało ku zachodowi, kiedy Polidor chcący zażyć wieczorney chwili, po nad brzegiem morskim w kilku przyiacioł przechodził się, i do corki swoiey dziesięcioletniey, ktorą za rękę prowadził, tak mowić zaczął. „Dziecię moie, posąg ten Neptuna, ktory na tym wzgorku widzisz, i ktoremu się lud bałwochwalny, iak Bogu, kłania, szczerym tylko kamieniem iest, prożno na twarz przed nim padaiąc, w śrzod gorących modlitw zimne iego liżą nogi;

gi; bo on z natury ſwoiey, i głuchy, i nieczuły. Ale ani mieſiąc, ani to ſłońce (chociażby naybardziey ludzi zaślepić mogło) Bogiem ieſt. Klimeno! patrz, iak ſię ſchyla ku zachodowi, i to znaczy niedoſtatek iego, że chcąc oświecić drugą połowę ziemi, dla nas mu iuż światła nie ſtaie. Potrzeba, żeby Bóg był przytomnym wſzędzie i zawſze; widzącym wſzyſtko bez zaſłony, doſtarczaiącym bez uymy ſobie; wſzechmocny bez wſparcia, i wielkim bez miary. Jeden tylko ieſt Bóg, ani więcey ich kiedy być mogło. On wolą ſwoią wyprowadził z niczego wſzyſtko, co widzisz, żadna zaś rzecz ſama ſiebie ſtworzyć nie mogła, boby muſiała być pierwey przed ſobą. On z drobnych proſzkow pozbiiał te twarde kruſzce i ſkały, i z nich inſze ręka człowieka na ozdobę albo wygodę iaką, inſze zaś (wielorakie im poſtaci daiąc) na rożne w bałwochwalſtwie poſągi obrociła; z których reſzty po podnogi naſze walaiąc ſię, świadczą o podłym początku ich. On ruſza te fale morza; i brzeg, po których chodziemy, położył mu za granicę. Kwiatami obſypał ziemię, i zrobił ią dla żywności ſtworzenia ſwego urodzayną.

dzayną. W głębokości powietrza pozawieszał gwiazdy swoie; inszym zaś bieg naznaczył, którego iednostaynie pilnuią. A na ziemi, prowadzi człowieka za rękę, śrzodkiem tysiąca niebespieczeństw, które go otaczaią. Klimeno! gdzie tylko spoyrzysz, on wszędzie iest, widzieć go możesz w tym rownym rządzie świata; w tobie samey, i w twoim dalszym powodzeniu widzieć go będziesz. On często umartwieniem pociąga do siebie ludzi; ale on dobry ociec iest, nie długo martwi dzieci swoie. Przecież chroń się złego, bo on iest sprawiedliwy; przenika myśli twoie, i nigdy nie karze bez przyczyny. Trzymay go się statecznie, a bądź mu wierna. „

Jeszcze coś chciał mowić Polidor, kiedy niespodziewanie od zaboycow morskich obskoczeni, wszyscy razem zabrani; i na okręt zaprowadzeni byli. Zmrok, ktòry nadchodził, powiększał okropność przypadku ich, za którym nastąpiła i rozpacz, kiedy z umykaiącym się śpieszno okrętem ginął przed oczyma brzeg ich, z którym się na wieki żegnali. Klimena przestraszona pod poły oyca tuląc się, tak go w spolnym

nym umartwieniu cieszyła. „Kiedyśmy po nad brzeg morski chodzili, Bóg widział nas rownie, iak i tych zboycow; on nas pozwolił porwać. On nic nie robi, ani nie karze nikogo bez przyczyny, ale też, iak dobry ociec, nie długo martwi dzieci swoie.„ Wielką to było pociechą dla Polidora słyszeć tyle z ust dziecięcia swego w ten czas; kiedy nawet przyiaciele iego ciężkim smutkiem przyciśnieni, w kącie okrętu wzdychaiąc, i sobie i iemu radzić nie mogli. Ale oczywista nędza, która ie trapiła, i myśl gorżka, ktòra im więcey ieszcze nieszczęścia obiecywała, osłabiły prętko pociechę tę; a rozum poradny w swobodzie, iedna przygoda zrobiła dla nich nieużytecznym.

Stanęli na koniec u brzegu nie znaiomego, ktòry im żywszy wystawił obraz niewoli przyszłey. Oto iuż podobno ta iest ziemia nieszczęśliwości naszych, zawołał Polidor: „Oyczyzno „ moia, iakżeś mi dzisiay słodka! dogodziło się „ przeznaczeniu memu: nie umrę w domu mo- „ im, i nie obaczę na wieki ziemi, w którey „ mi się iedynaczka moia Klimena urodziła. „

Tym

Tym czasem łodzie, które podpłynęły, przeprowadziły na brzeg rzeczy, i niewolnika; gdzie zaraz za cenę umowioną kupieni; i panu swemu oddani byli. Wszystkiego był dostatek wielki, co do wygody ich należeć mogło; ieden tylko zakaz nie wychodzenia za obeyście domu i ogrodu, całą był niewolą ich; tak dalece, że z czasem przyzwyczaiwszy się do życia tego, Klimena zaczęła być spokoynieyszą: i tak do oyca mowiła: ,,Nie zapomniał widzę Bóg o ,, nas, daiąc nam pana z sercem litośnym. Boiaźń sama była udręczeniem naszym, a istotnego złego ieszcze nie doznaliśmy. Jestem ,, teraz zupełnie spokoyna! (powtarzała to po ,, kilkakroć razy, całuiąc w ręce oyca swego) ,, zupełnie iestem spokoyna z tobą ,, Ale Polidor westchnąwszy, odpowiedział: ,,Dziecię moie, nie ufay nigdy fortunie, choćby cię naybardziey upewniała. Bardzo często pokazuie ona ludziom niby grunt mocny, na ktòrymby się śmiało oparli, ażeby potym tym cięższy nastąpił upadek ich. Ty nie wiesz, co to był za człowiek dziad twoy? Bogactwa iego daleko słynęły, a zazdróść i przypadek nie mogły mu zaszko-

ſzkodzić nigdy. Ja dobrze pamiętam, iak ze wſzyſtkich ſtron przychodził doſtatek w dom iego; a za nim (iak zwyczaynie bywa) przyiacioł mnoſtwo zrobiło go możnym w okolicy. Drźwi iego otwarte dla każdego, ziednały mu powſzechnie imię dobroczynnego. A co bardziey ieſzcze zdało ſię upewnić mu ſtateczność ſzczęścia tego; że dziad twoy zbierał zawſze poczciwie, a z tego bliźniemu ſwemu w potrzebie, na nic ſię nie oglądaiąc, udzielał hoynie. Nikogo w kupnie, albo przedaży nie oſzukał, nikogo w danym ſłowie nie zawiodł, Był wiernym Bogu, i bliźniemu. Otoż na koniec ogień i woda podzieliły między ſiebie doſtatek iego w ten czas, kiedy nam wſzyſtkim oświadczył; że dla tego tak wielką, bo iuż oſtatnią za morze wyprawę czynił; ażeby potym ſpokoynie reſztę dni ſwoich kończyć. Tey właśnie godziny, przyſzła nowina rozbicia ſię ze wſzyſtkim okrętu iego; kiedyśmy pomiędzy dogorywaiącemi popiołami ſpalonego domu naſzego, zabierali kawałki naczynia ſtopionego. Ale Bóg wſzyſtkim rządzi, i rządzi ſprawiedliwie, za tę dziada twoiego udzielność dla bliźniego, i iego w niczym niepo-

poſzlakowane życie, czyliż ſię był powinien takowego końca ſpodziewać?

Klimeno! duſza naſza nieśmiertelna ieſt, i nikt darmo cnotliwym nie był. Szczęście albo nieſzczęście nie będzie na ziemi nadgrodą cnoty; bo tyle razy doświadczamy, że ſię do końca wiedzie bezbożnym. Zeby tedy Bóg w rządzie ſwoim ſprawiedliwym był: potrzeba, ażeby duſza nieśmiertelną była, i inſzą nadgrodę, nie tę na świecie ſkazitelną, odbierała. Wiedział to dobrze dziad twoy, przyiął bez narzekania z ręki boſkiey uboſtwo, w którym dni ſwoich ſpokoynie dokończył.

Rok bliſko niewoli ich dochodził, a ieſzcze pana ſwoiego nie znali; ſami tylko poſługuiący im o hoyności i wſpaniałości duſzy iego wypowiedzieć ſię nie mogli. Kiedy raz w ogrodzie ociec z klimeną zabawiał ſię, wſzedł nieſpodziewanie Altamor, (to było nazwiſko pana ich) i tak mowić pocznie. „Bogowie dali mi doſta-
„ tek, a ia ſię nim chętnie dzielę z bliźnim mo-
„ im. Spodziewam ſię, że tu wam na niczym
„nie-

„ nie zbywało. Wdzięczność, którą mi za to
„ mieć powinniście, bogom naypierwey należy;
„ i dla tego, ponieważ w krotce wielkie ich
„ święto następuie; potrzeba, ażebyście i wy
„ wraz z całym ludem moim wystawionym w
„ pośrzodku miasta bogom mieyscowym pokło-
„ nili się. Ja, Altamorze! odezwał się Polidor,
„ iedynego wyznaię Boga; iemu się tylko kła-
„ niam, i iemu za te łaski, któreśmy w tobie zna-
„ leźli, dziękuię. Na to żeś nas w tych wygo-
„ dach tak hoynie tuczył, ażebyśmy po tym,
„ iak bydlęta od żłobu na rzeź prowadzeni by-
„ li? Nie mieszay, prosiemy cię, tey wdzię-
„ czności, którą mamy dla ciebie; i pozwol,
„ niech w tey wierze spokoynie umieramy, w
„ któreyśmy się szczęśliwie porodzili. „ Ani ty
„ bezkarnie bogow moich szarpać będziesz, mo-
„ wił Altamor: przez dwa dni ieszcze namyślać
„ się macie; potym was, albo życie spokoyne,
„ albo śmierć okrutna czeka. „ Wyszedł z ogro-
du, i zostawił w sercu Polidora głęboki smutek,
w którym utopiony, słowa do swoiey Klimeny
przemowić nie mogł. Ona zaś tak oyca swoie-
go cieszyła: „ I czegoż na tey ziemi żałować

„ ma-

„ mamy, ieżeliby umierać przyszło? śmierć „ nam otworzy szczęśliwe wrota do wieczności, gdzie nas ani łaska Altamora pocieszy, „ ani gniew iego zatrwoży. Ale ieszcze... iak „ powiadaią, on iest skłonny do politowania, „ i coś dobrego sama nawet twarz iego znaczy; „ wzruszyć go mogą proźby moie. Ja mu powiem, że ieżeli nas gubić zechce, wierniey- „ szych iuż sobie niewolnikow nie znaydzie. „ „ Klimeno! mowi Polidor, głęboko w sercu „ leży religia; i nikt iey dotknąć nie może, że- „ by razem i serca nie dotknął. Nie chcąc się „ kłaniać bogom iego, będzie to samo pogardą „ ich; a ktożby się nie wzruszył, widząc znieważoną wiarę swoią? Przecież trzeba nam „ wyznać prawdę: Boże! ktòrego znam od dzieciństwa mego, i ktòryś mnie, i nikomu, nic „ złego nie zrobił; ia się ciebie wstydzić nie „ będę. „

Już przyszedł dzień wielki, i wystawione w pośrzodku miasta posągi niezmierne tłumy ludu otoczyły, za ołtarzem stosy gotowe na spalenie winowaycow czekały, ktòrzy albo za zbrodnie

na śmierć osądzeni byli, alboby czci bogom oddawać nie chcieli; ażeby tym sposobem nic przeciwnego bogom, uroczystości i ofiary ich nie mazało.

Przybył na koniec Altamor, na którego tylko czekano z niewolknikami swemi, a kiedy się pospolstwo ucifzyło, tak do Polidora, i towarzyszow iego mowić zaczął: „Nie na tom was tak „ drogo u zboycow kupił, ażebym kiedy zguby waszey miał pragnąć. Wy do niey sami „ upornie ciśniecie się, niechcąc odstąpić Boga „ swego, a pokłonić się naszym; iakoby ten „ mocnieyszym był, który was od niewoli teraźnieyszey ochronić nie mogł, nad naszych „ bogòw, do których ziemi dostaliście się. Boią się nas sąsiedzi; rodzi nam nad insze kraie „ plennieysza ziemia; żyiemy spokoyni i szczęśliwi. Dar to iest bogow kraiowych, i znak „ oczywisty, że mocnieysi i łaskawsi są nad inne postronne bogi. Weźcie to kadzidło, które widzicie, i nachyleni przed niemi rzucaycie go na ogień; a potym wybieraycie ziemię „ do uprawiania, ktòrą chcecie, albo miasto do „ pro-

„ prowadzenia kupiectwa, ktòre ſobie życzyć
„ będziecie. Altamor wam przyrzeka wolność
„ zupełną w kraiu, i pomoc we wſzyſtkim. „

Kliton, ieden z towarzyſzow Polidora odpowiedział: „ Prawdziwy Bóg nasz tym, którzy
„ go ſię ſtatecznie trzymaią, daie nadgrody nieſkończone; a twoi bogowie docześnie tylko,
„ iak mowisz, płacą. Nie chcemy tak marnie
„ mieniać dobra iſtotnego za omamienie, i ſzczę-
„ ście nieśmiertelne za roſkosz krȯtką." W tym na ſtos podpalony winowaycow kilka wrzucono; Kliton zaś przy wolnym ogniu poſtawiony, ażeby przedłużeniem męki, do odmienienia przedſięwzięcia mogł być przymuſzonym.

Stało ſię, iak ſobie Altamor życzył, po krȯtkim czaſie zawołał Kliton: „ Wielcy bygowie
„ Altamora! ia was wyznaię. " Rozwiązany zraaz do ołtarza przyſtąpił; i razem nieſzczęśliwym przykładem ſwoim reſztę zalęknionych towarzyſzow za ſobą pociągnął. Polidor zaſłoniwſzy ſobie oczy (bo ani w niebo, ani na Klimenę ſwoią ſpoyrzeć dla wſtydu nie mogł) ſzedł z wol-

na ku ołtarzowi za drugiemi; w ten czas, kiedy okrzyk pospolstwa powietrze napełniał. Dał znak Altamor, żeby się ucissono; chcąc Klimenę, która się iedna tylko została, do ofiarowania bogom swoim namowić. Ale ona zaczęła pierwey: „ Wielki Bóg chrześciański mocen iest w pośrzodku ognia dać ochłodę wybranym swoim; „ albo stateczność, na wytrzymanie męki. Nie „ rozumiey, Altamorze! żeby mię kiedy ustra- „ szyć mogły stosy twoie. Ty nie wiesz, iak za „ krótkie ucierpienie dla Chrystusa, hoyny iest „ w nadgrodę Bóg nasz. Ani tego życia ża- „ łować mogę, które mi odbierasz; dla przy- „ szłego, które mię wkrótce czeka. Zal mi tyl- „ ko, że zostawiam na ziemi tych zwiedzionych „ chrześcian, a między niemi oyca moiego Po- „ lidora; że tego Chrystusa, którego po tyle „ razy przedemną wychwalał, dzisiay odstąpie- „ niem swoim znieważa. Dawny moy Boże! „ którego ia nigdy dla nowych nie odstąpię, „ daruy tę ułomność oycu moiemu, i wroć mu „ serce wiernych twoich. Altamorze! chrześci- „ anie krzywdy swoie darować powinni. Tylko „ o to żal miałam do ciebie, żeś był przyczy-

„ ną

„ ną rozdzielenia mię z oycem moim, otoż ci i „ to odpuszczam : i ieszcze w pośrzodku ognia „ prosić za tobą będę; ażebyś, kiedyś oświe- „ cony, prawdziwego poznał Boga. Te twoie „ cnoty, powszechnie znane i chwalone, warte „ są wiary lepszey. "

To kończąc, biegła ochotnie ku ogniowi; ale Polidor, za rękę ią porwawszy: poczekay, mowił, Klimeno moia! iam z tobą był zawsze od dzieciństwa twego, i nigdy cię postępek moy nie zawstydził; a ty dzisiay chwalebnie dla ciebie, ale ze wstydem moim uprzedzasz mię. Altamorze! ia na wieki wyznaię Boga Klimeny, który ią tak umacnia. Pódźmy, córko moia! pódźmy razem na ogień, ia ciebie, Boże, i dziecięcia moiego nie odstąpię. Wziął ią na ręce Polidor, a ona płacząc z radości, i za szyię oyca swoiego ściskaiąc, wołała: „Altamorze! ociec „ moy ze mną iest; iuż ci nie mam co odpu- „ ścić. "

Reszta towarzyszow, porzucili także ołtarze; i obstąpiwszy w koło Polidora z Klimeną,

Kliton z pomiędzy nich tak mówić zaczął:
„ Mnie to naypierwey należy poyść na ftos ten,
„ którym was złym przykładem moim tak cię-
„ żko zgorfzył. Nie brońcież mi tey fprawie-
„ dliwey poprawy moiey! niech w oczach wa-
„ fzych zetrę tę plamę; i pokażę wam drogę
„ prawdziwego chrześcianina, od którey odftę-
„ pftwem moim dopierom was był odwrocił.
„ Spokoynie umierać będziecie, nie boiąc fię
„ iuż o mnie, który między wami nayflabfzy
„ byłem.

Kazał zatrzymać wfzyftkich Altamor; i przy-
ftąpiwfzy do Polidora, wziął z rąk iego na ręce
fwoie Klimenę, i tak do zgromadzenia całego
mowił: „Czegoż zapomnieni płaczecie wfzyfcy?
„ oto iuż w tych łzach wafzych oddaliście ofia-
„ rę Bogu chrześciańfkiemu. Co ze mnie ieft;
„ odtąd innego Boga znać nie chcę, tylko tego,
„ którego Klimena wyznała, i który przez nią,
„ tak do mnie mocno mowi, że mu fię oprzeć
„ nie mogę. Zyicie fzczęśliwi, chrześcianie! ia
„ bratem wafzym ieftem. Spodziewam fię, że
„ mi zawfze wierni będziecie, kiedyście Bogu
„ wa-

„ waſzemu wierni byli. Nauczaycie ludu moie-
„ go tey dobrey wiary; a dzień dziſieyſzy nie-
„ chay ſię odtąd nazywa dniem tryumfu Chry-
„ ſtuſowego. “



DO

JAŚNIE WIELMOŻNEGO JMCI XIĘDZA

ADAMA NARUSZEWICZA

B. K. S.

przy oddaniu wierſzy

NA SUMIENIE.

O Ty! którému Polſkie Muzy winne
Wróconą piękność i chwałę;
Coś im z rąk pobrał bawidła dziecinne,
I okrzeſałeś zdziczałe.

Coś niedbałością warkocz ich ſplątany
W porządną koſę poſplatał,
I z naypierwſzemi Muzami Sekwany
Słodką równością pobratał.

Po

Po Kochanowſkim wieniec pozoſtały
    Dwa wieki leżał nie brany;
Na twe go ſkronie włożył narod cały,
    Naſtępco długo czekany!

Przypatruiąc ſię twoiemu rymowi,
    I mnie ſię piſać zachciało.
Oddaię memu Nauczycielowi
    Wierſze, na iakie mię ſtało.

Szczęśliwyś! czyli śpiewasz gay zielony,
    Jak ſię kwiatami rozrodzi;
Czyli pod niebo wzlecisz nieścigniony,
    Równie ci łatwo przychodzi.

A mnie moy ciężar trzyma na nizinie,
    Próżno ſię w górę podnoſzę.
Błogo mi, ieźli iaka ſię nawinie,
    Taką ci różę przynoſzę.

Może przy tobie, co przez dar iedyny,
    Nie znasz w twym ogniu odmiany:
Ożyłbym, iak ow chłopiec Paleſtyny,
    Tchem uſt praroka zagrzany.

Może przy twoim ſłońcu, co przyiemnym
Promieniem świeci, i grzeie;
Poſzedłbym prościey, a tu w mroku ciemnym
Obłędne chwytam koleie.

Ciężko mi ściągać myśli rozbiegnione,
I w iarżmo wierſza ie wprawić.
Przyimiy za dobre ſtaranie czynione,
Jeźlim nie umiał zabawić.



SUMMENIE.

SUMIENIE.

Quos diri conſcia facti
Mens habet attonitos, & ſurdo verbere cædit.
JUVEN. SAT. 13.

NOc przyſzła; i z nią razem ciemna iey
drużyna,
Po dołach ſię rozbieży, po górach ſię wſpina,
Czarnym kirem naturę przykrywaiąc całą,
Aby ſłodko ſtworzenie zmordowane ſpało.

Jeden moy nieprzyiaciel nigdy nieuſpiony,
I iako do potrzeby zawſze uzbroiony,
Czuwa na mnie; ſen mieſza, ſtawia ſidła w cieniu,
Zaraz mię napadaiąc po mym przebudzeniu.

Szczęśliwy! z którym rada niewinność przebywa,
Ona go od ſnow ſtraſznych ſwą ręką zakrywa.
A zabawnych dla niego marzeniow ſię chwyta;
I z wolna zbudzonego uśmiechem ſwym wita.

Za lat młodſzych ia także tak ſzczęśliwy byłem,
W pośrzod nocy głębokiey ſam weſoł chodziłem;
I patrząc na ten xiężyc, i na tych gwiaźd zgraie,
Z pociechąm śpiewał temu, który im bieg daie.

Dziſiay ie blade widzę, chociaż świecą iaſno:
Między łzami mych oczu promienie ich gaſną.
A nawet patrzyć na nie przychodzi oporem;
Wſtyd mi ſię pokazywać przed tym nieba dwo-
rem.

Szum wody, przeſzłą świata przypomina karę.
I zdaie ſię, że znowu morza brzegi ſtare.
Poddały ſię, falami zbite gwałtownemi,
Nowym grożąc zalewem obwinioney ziemi.

Ptak nocny inſzym dla mnie ſtaiąc ſię tyranem,
Okropny głos ſwoy mieſza z nocą i z mym ſta-
nem.

Niby

Niby mię za coś łaie, i coś wywołuie;
A moy mu nieprzyiaciel ieſzcze potakuie.

Wezmę żałobną lutnię; i przez tęſkne tony
Powiadam cichym ścianom ſtan moy uprzykrzony:
Które toż powtarzaiąc pod czas tonu przerwy,
Niby ſię pouczaią, com im zadał pierwey.

Próżno ogień roznieciam, co ſwoim płomieniem,
Co rożnością farb ſwoich, co mię bawił cieniem:
Dziś mię ſtraſzy, że wkrótce dnie zemſty naſtaią;
Gdzie ſpłoną ſuche góry, co mię otaczaią.

W takiey trwodze wyglądam porankowey zorzy;
Ażali mnie móy ſmutek cokolwiek umorzy
Czas, w którym, powiadaią, iakąś folgę czuią
Ci, co ſłabością ciała złożeni choruią.

Już ptaki pierwſzy ſłońca promień przywitały,
Gór wierzchołki ożywnym światłem zaiaśniały:
Rolnik budzi do pracy czeladkę zaſpanę;...
I ia cokolwiek oczy przecieram ſpłakane.

Przecież moy nieprzyiaciel próżnować nie lubi:
Wszystkie moie rozrywki, w ich początkach, gubi.
Z goryczą miesza wszystko, co iadam, i piię:
Z iego ręki, codziennie umieraiąc, żyię.

Okrutną iakąś roskosz i pociechę miewa,
Gdy widzi, iak mi czasem srogi bol dogrzewa.
Lubi iątrzyć me rany, lubi, gdy się trwożę;
Ale zabić mię nigdy nie chce, czy nie może.

Co mię tylko otacza, zarazą ozionął.
Boię się słońca, chmury, wiatru, co powionął.
Smutno mruczą strumyki, ptak żałośnie śpiwa.
Łąka się stała tęskna, i róża nie żywa.

Zacząwszy od przyiacioł, których nie mam w bidzie.
Wszystko za iego wozem tryumfalnym idzie.
Wszystko groźną piorunem pooblekał chmurą,
I z całą mię moy tyran poklucił naturą.

Sumienie! ktoż ty iesteś, żeby ci bezkarnie
Uyść miało tyle ludzi uciśnionych marnie?

Od pierwſzego człowieka, co ſię wczymſiś zmylił,
Próżno ſię każdy oprzeć twoiey broni ſilił.

Krwawe twoie chorągwie od kolebki świata
Rozwinąwſzy, woiuiesz przez tyſiączne lata.
Chlubą nadęty łupow zwycięzkich bez liku,
Nawieſzałeś po świecie, ſtary naiezdniku.

Czemu walcząc pod haſłem niezwyciężonego,
Zabiegasz aż do kąta ziemi oſtatniego?
Strach robiąc cię bożyſzczem, wſpiera wielkość twoią;
A tymeś tylko mocny, że ſię ciebie boią.

Ja wydam twoy ród podły: zdeymę tę maſzkarę,
Pod którąś dokazywał na twey ſławy wiarę.
Zbiorę lud rozpierzchniony, dam na cie oręże:
Przynaymniey cię zawſtydzę, kiedy nie zwyciężę.

Zmieſzanie cudzołożne wielu niecnot w ciſzy
Dało ci życie, które głupſtwem naſzym dyſzy;
Które, iako ſłabieie, gdy ſię uſłatkuiesz,
Tak go rozboiem ſzlakow bitnych utrzymuies.

Kto

Kto ma męſtwo poczciwe, ſzuka przeciwnika,
Który ſię z nim równemi ſiłami potyka:
Nie znieważay ſwey broni rzeźią tłuſzczy krwawą.
Ty napadasz bezbronnych; i zowiesz to ſławą.

Zyi, święta wſpaniałości! a tyś ią umorzył.
Komuś kiedy darował, choć ſię upokorzył?
Srożeiesz, gdy przed tobą drżę ze ſtrachu cały:
Podłyś ieſt, i dla tego w twym ſzczęściu zuchwały.

A ia złorzeczę temu, którego ſię boię!...
Sędzio, świadku, i panie, daruy głupſtwo moie!
Nie przyczyniay mi nowey do dawnych ran rany,
O groźny moy tyranie! o nieubłagany!

Chciałbym zeyść z oczu twoich, moy dozorco ſrogi;
Aleś mi do ucieczki pozalegał drogi.
Jużeś mię ściſnął zbliſka... ziemi wywołaniec!
Zamknę ſię chyba w ſobie, w moy oſtatni ſzaniec.

Tak

Tak ieſt: gdziem dotąd ieſzcze (iakbym go ſię
wſtydził)
Niebył nigdy, i wiernych progow nie odwiedził;
Poydę do ſerca mego, i tam troſki moie
Na łonie przyiacielſkim cokolwiek ukoię.

Poydę! moy ten przyiaciel, moy ten zawołany,
Kiedym tak w domu iego dawno pożądany;
Nazwie to dniem ſzczęśliwym, gościną przy-
iemną:
Odpocznę w ſercu moim, i ſerce me ze mną.

Zoſtańcie przy drżwiach, troſki, tęſkne zamy-
ślenia,
Narzekania taiemne, i głośne ięczenia!
Ja ſam tylko tu wnidę, w tę pociechy bramę:
Do was iuż nie powrocę; zoſtańcie tu ſame.

Jam to mowił. — a los moy poſzedł ſwoią drogą.
Zdrada ieſt; w pośrzodku mnie oſzukanym
ſrogo!
Moy głowny nieprzyiaciel nie wiem iakim
kſztałtem
Opanował me ſerce, i mieſzka w nim gwałtem.

Mar-

Marna moia nadzieio! iedno mieysce było,
Co mi za ostateczne schronienie służyło.
Moy tyran w całym świecie, iak w swoim się
krząta:
Mnie małego w mym sercu pozazdrościł kąta.

Oh! on tu widzę nie sam, iakże się rozrodził?
Całą swoią rodzinę na moy koszt pozwodził.
Zdaią się być bespieczni, iak w swoiey stolicy:
Maią kształt towarzystwa, chociaż wszyscy dzicy.

Oczy krwią zapłynione, naieżone włosy,
Pozor wszystkim zaboyczy, i chrypliwe głosy,
Twarz śniada, wysuszona, kolor w ustach siny:
Podobni, iak gadzina bywa do gadziny.

Wołaią się imiony swego pokrewieństwa,
Są między niemi bracia, siostry, i małżeństwa;
Płeć biała, miasto wdzięków, i powabnych
oczy,
Ma surowość na twarzy, węże u warkoczy.

Wszyscy się pilną swoią robotą krzątaią.
Ci brudny iakiś napoy z goryczą mieszaią:

Ci na długim regeſtrze liczą iakieś kryſki;
Ci na mnie kręcą łyka, ci oſtrzą pociſki.

Serce moie zdradliwe! czyż nie ia to pierſzy
Do domu twego byłem? czyż nie ia ci ſzczerſzy.
Niźli ci, co naſtaią na dziedzinę moię?
Tyrani cię obſiedli; ia u proga ſtoię.

Ja od ciebie wzgardzony! którym ſiłą całą
Zawſze ſię o to ſtarał, czegoś tylko chciało;
Którym ci tyle razy ſłużył z zdrowia ſtratą!
Którym cię tak ſzanował: A ſerce mi na to:

Gościu ty moy niewczeſny! cożem temu winno?
W ten czas, gdy cię wiązano pieluchą dziecinną,
Uſłużny kapłan ten twoy domek ochędożył,
I tron Bogu wielkiemu w pośrzodku położył.

Jam czuło, kiedy wchodził pan nieogarniony:
Naypierwey wſkroś mię przeiął ſtrach upokorzony;
Potym niewymowiona wonność weſzła tłumem,
I z nią cichość głęboka. Bóg nie idzie z ſzumem.

Ogień

Ogień na wielu mieyſcach domku tego błyśnie:
Potym ſię nawał światła białego naciśnie;
Potym mię ogarnęła miłość iakaś święta,
I mdłe zmyſły zalała ſłodycz niepoięta.

Boże! któż cię obaczy? iam cię tylko czuło
Tak ieſt, gościu, mięſzkał Bog, ale ſię popſuło
Z czaſem wſzyſtko, nog iego ślady pościerane;
I wyſzły z domku twego cnoty zapłakane.

Prawda, żem prętko mego ſzczęścia zapomniało;
I poſzło, gdzie zepſute prowadziło ciało.
Ale ci na to rozum udzielony z gury,
Zebyś nim był hamował złą ſkłomność natury.

Czemuż tak łatwo żądzom moim pozwalałeś?
Jeżelim było ślepe, to ty światło miałeś.
Teraz moią i twoią zgubę widziſz iaśnie:
Zła iſkra, i dom ſpali, i ſama zagaśnie.

Na kogoż ſkargi twoie rozkładaſz i żale?
Tyś winnieyſzy nademnie, żeś rządził niedbale,
A ci, których twoiemi zowieſz tyranami,
Są własnym naſzym płodem, naſzemi ſynami.

Rozum

Rozum, zbestwionych żądzy ponętą uięty,
Zapomniał stanu swego, złączył sił z bydlęty.
Jakaż z takiego łoża pociecha być miała?
Pomieszana natura straszydła wydała. „

Dopiero nędzne serce z wolna mię uczyło.
Jak mi się to iaszczurze gniazdo rozrodziło.
Przypominało wiernie czasy, znaki, ziemię;
Żem w reszcie przekonany uznał swoie plemię.

Boże! iam cię naypierwey poznał po dobroci!
Twoie niebo chociaż się dla człowieka słoci,
Zabłyśniesz iasnym słońcem, rożbiegną się wody.
Wyidzie niespodziewana plenność z pośrzod
szkody.

Ty masz roskosz iakowąś, świadczyć dla stworzenia!
Rozradzasz, uszczęśliwiasz ludzkie pokolenia.
Jak gdyby dobre dzieci iuż ci się przebrały,
Mnie się tylko naygorsze z twey ręki dostały.

Nie mruczę na te moie nayostrzeysze stroże:
Ty z pośrzodka tych kolcow możesz dobyć roże.

Ale niechby powolniey, niechby z mnieyszą władzą:
Niech mi cokolwiek mieysca w sercu moim dadzą.

Jakby o tobie nigdy, żeś iest, nie wiedzieli;
Znęcaią się synowie nad krwią, z której wzięli.
Wstyd mi, przed memi dziećmi padać na kolana.
Pozwol; ia się powrocę do dawnego pana.



O USPO-

O USPOKOIENIU z CNOTY.

KTo cnotę ſmutną maluie,
Wiele iey wdzięków uymuie.
Ona ſię miley uśmicha,
Ocz nie zawraca, nie wzdycha.
Wſzyſtkie przygody iednako przyimuie:
Szczęście, nieſzczęście, rownie ią koſztuie.

Prożno zaoſtrza ſwe ſtrzały
Przypadek na nią zuchwały;
Jak ſkała falą tłuczona,
Burzę ſwym ſtatkiem przekona:
Albo iak ogień, im bardziey ſię wzmaga,
Tym do piękności złotu dopomaga.

Sokrates piie truciznę
Za to, że kochał oyczyznę.
Wypił; i daie bez trwogi
Swym przyiaciołom przeſtrogi.
Anitus (*) bardziey mieſza ſię i mruczy,
Że mu i śmiercią nawet nie dokuczy.

Czego

(*) *Anitus, fałſzywy oſkarżyciel Sokrateſa.*

Czego ten biega ſtroſkany?
Rwie włoſy łzami zalany!
Za tym mu ſię płakać zdało,
Co być koniecznie muſiało.
Niechay ſię ieſzcze choćby ſto lat ſmuci,
Na ieden fenig ſzkody nie powróci.

Łańcuch od wiekow związany
Każdey na świecie odmiany,
Ten go przerobić ſam zdoła,
Który powiązał te koła.
Na coś ſię ſmucić? co ieſt, albo było,
Wſzyſtko przedwieczny wyrok uiścilo

My bardzo krótko żyiemy,
I nic o iutrze nie wiemy.
Za coż ten kwaſić czas mały!
Nieba nie na to go dały.
Niech niewolnikow złota ſtrach obleci,
Czego ſię trwożyć maią boſkie dzieci?

Po drodze tkaney cierniami
Kwiaty rzucaiąc przed nami;

Idźmy

Idźmy, nie dbaiąc na bole,
Choć nas co czaſem ukole.
Tam, powiadaią, gdzie bez kolcow róże,
Każda ſię rana prętko zgoić może.

KONIEC TOMU I.



REGESTR.

Nice

Na